

# INFORMATOR POLSKI





*Oferujemy profesjonalną pomoc w znalezieniu najtańszego i najszybszego połączenia do i z Polski.*

**Bilety promowe, lotnicze, autobusowe, kolejowe**

**Wycieczki indywidualne, grupowe, biznesowe, szkolne**

*Hos PolenGO gør vi alt for at vise den bedste vej til Polen.*

*Vi skræddersyer alle rejser, om det så kun gælder transport eller hele pakken fra A-Z. Vi har stor erfaring med grupperejser for virksomheder, foreninger og skoler, og kender Polens muligheder godt.*

**Færger til Polen, flybilletter, bus- og togbilletter**

**Grupperejser, firmarejser, studie-, sport- og skolerejser**



***Twoja najszybsza droga do Polski! \*\*\* Den bedste vej til Polen!***



Skolegade 2B, 2500 Valby



+45 44 45 12 80



[www.polengo.dk](http://www.polengo.dk)



[book@polengo.dk](mailto:book@polengo.dk)



Na okładce: obraz Jerzego Kossaka „Cud nad Wisłą”



Gala XI edycji konkursu „Być Polakiem”

## INFORMATOR POLSKI

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

**Wydawca:** Federacja „Polonia”  
www.federacja-polonia.dk

**Adres redakcji:**  
Ellemosevej 14, 4960 Holeby  
Tel.: +45 61 86 33 31  
E-mail: roman@smigielski.dk  
Redaktor naczelny: Roman Śmigieński

**Kolegium redakcyjne:**  
Torsten Elsvor  
Dominika Piłkuła  
Patrycja Skłodowska-Kocewiak

**Dział kolportażu i ogłoszeń:** Roman Śmigieński

**Fotoskład:** Dom Wydawniczy ELIPSA



Warszawa, ul. Inflancka 15/198  
tel./fax +48 22 635 03 01

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.  
Anonimów nie publikujemy.  
Zastrzegamy sobie prawo skrótów adiacji tekstów.  
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

# 40 SOLIDARNOŚĆ

40-lecie powstania Solidarności



Zalipie – najpiękniejsza polska wieś

- 100 LAT TEMU. 14–20 SIERPANIA 1920 R. | 3
- BITWA WARSZAWSKA | 9  
*Zbigniew Gluza*
- OBRAZ „CUD NAD WISŁĄ” | 10
- WIARYGODNOŚĆ | 11  
*Roman Śmigielski*
- „CENZURA JEST JAK STARA KOCHANKA...”,  
CZYLI O CZYM PISANO W POUFNYCH  
PORADNIKACH DLA CENZORÓW | 13  
*Anna Wiśniewska-Grabarczyk*
- DAJCIE MI ROZKAZ – HISTORIE POLSKICH  
Kobiet | 16
- POLKI BARDZIEJ AMBITNE OD POLAKÓW? | 21
- 17 SIERPANIA | 23  
*Zbigniew Gluza*
- 21 TEZ SOLIDARNOŚCI | 24
- O STOSUNKACH POLSKO-ESTOŃSKICH | 26  
*Leszek Wątróbski*
- ZALIPIE – NAJPIĘKNIEJSZA POLSKA WIEŚ | 30  
*Ewa Michałowska-Walkiewicz*
- XI EDYCJA KONKURSU „BYĆ POLAKIEM” | 32
- SOLIDARNOŚĆ | 34  
*Maria Zając*
- ALEKSANDER FORD – W CZTERDZIESTĄ  
ROCZNICĘ ŚMIERCI | 36
- ALEKSANDER FORD A JANUSZ KORCZAK | 37  
*Filip Jacobson*
- OM JANUSZ KORCZAK | 40  
*Jens Juhl Jensen*
- POLSKA – DANIA. Na pograniczu dwóch kultur.  
Z notatnika i wspomnień reżysera | 42  
*Włodzimierz Herman*
- ŚMIERĆ NIEOSĄDZONA | 44  
*Ks. Edward Walewander*
- DZIADY – PIEŚŃ KATORŻNIKÓW  
(FANGERNES SANG) | 46
- „EUGENIUSZ ONIEGIN” CZAJKOWSKIEGO  
– PRODUKCJA OPERY W AARHUS | 47  
*Eva Maria Jensen*
- MIGRANCI W POLSCE | 49  
*Leszek Wątróbski*
- MIĘDZY POLETKIEM STANISŁAWA BAREI  
A DZIAŁKĄ EGONA OLSENA | 51  
*Wielbiciel Gangu Olsena z wyspy Amager*
- KROTOS | 53
- KĄCIK KULINARNY | 54
- MONSTRUM W KOPENHASKIEJ OPERZE:  
MUSICAL „SWEENEY TODD” | 55  
*Eva Maria Jensen*
- JESTEŚMY MIASTEM ZIELONYM,  
BŁĘKITNYM, EKOLOGICZNYM,  
OTWARTYM NA RÓŻNORODNOŚĆ... | 57  
*Leszek Wątróbski*

## OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy!

Niniejszy numer *InformatoraPolskiego* po raz pierwszy w naszej 28-letniej historii ukazuje się tylko w formie elektronicznej. Na początku bieżącego roku środki polonijne przeniesiono z Senatu RP do rządu, który uznał, że nie należy nam się dotacja na druk naszego kwartalnika. Piszemy o tym w tekście zatytułowanym „Wiarygodność”. Zarówno poprzedni, drukowany numer kwartalnika jak i numer bieżący zostały sfinansowane ze środków własnych redakcji. W tym numerze świętujemy stulecie Bitwy Warszawskiej i czterdziestolecie powstania NSZZ „Solidarność”. Solidarność była też tematem XI edycji konkursu „Być Polakiem”. Zamieszczamy omówienie tegorocznej Gali konkursu, która odbyła się w Zamku Królewskim w Warszawie 4 sierpnia br. oraz jedną z nagrodzonych prac napisaną przez osiemnastoletnią Marię Zając z Irlandii Północnej. Nasz stały współpracownik Bent Christensen tłumaczy obecnie na język duński jedno z trudniejszych dzieł literatury polskiej: „Dziady” Adama Mickiewicza. Z próbką tego tłumaczenia – „Pieśnią katorżników” – można zapoznać się w tym numerze. Polecamy ciekawy artykuł Anny Wiśniewskiej-Grabarczyk o Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli PRL-owskiej cenzurze. Kontynuujemy „Historię polskich kobiet” przygotowaną przez Ośrodek KARTA oraz wywiad Leszka Wątróbskiego z prof. Raimo Pullatem z Estonii. Omawiamy książki Włodzimierza Hermana „Polska-Dania. Na pograniczu dwóch kultur”, a także Szczepana Kowalika i Arkadiusza Kutkowskiego „Śmierć nieosądzona. Sprawa księdza Romana Kotlarza”. W czterdziestą rocznicę śmierci przypominamy sylwetkę reżysera Aleksandra Forda, który część swojego życia na emigracji spędził w Danii. Eva Maria Jensen recenzuje dwie duńskie premiery operowe. O zielonym, błękitnym, ekologicznym, otwartym na różnorodność Szczecinie mówi – w wywiadzie Leszka Wątróbskiego – zastępca prezydenta tego miasta Krzysztof Soska. Poza tym w niniejszym numerze znajdziecie Państwo ciekawe materiały naszych stałych autorów: Adama Bielniczego, Tadeusza Krotosa, Ewy Michałowskiej-Walkiewicz i Leszka Wątróbskiego.

Redakcja przyjmuje duże i drobne ogłoszenia, także prywatne.

# 100 LAT TEMU

## 14–20 SIERPNI 1920 R.

**14** sierpnia 5 Armia gen. Władysława Sikorskiego przechodzi do natarcia z nad rzeki Wkry, by odciążyć obronę Warszawy pod Radzyminem. Oprócz szturmów warszawskiego przedmieścia Sowieci na północy przeprowadzają manewr oskrzydający (Płock–Brodnica–Włocławek). 15 sierpnia stacjonujący w Siedlcach bolszewicy informują, iż „Armia Czerwona wkroczyła do Warszawy”. Członkowie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski przenoszą się do Wyszkowa. 16 sierpnia rusza, prowadzona przez Piłsudskiego, decydująca kontrofensywa armii polskiej z rejonu Wieprza w kierunku Mińska Mazowieckiego, Brześcia i Siedlec. 17–18 sierpnia Wojsko Polskie rozbija sowiecką 16 Armię. Armia Czerwona wycofuje się za linię Wisły. Trwa zacięta walka o Lwów, a na północy obrona Płocka. 19/20 sierpnia na Górnym Śląsku wybucha polskie powstanie.

**Maria Macieszyna** (żona Aleksandra Macieszy, lekarza WP):

Hallerczyk [Wiktor] Szczawiński ze schodów kościoła garnizonowego przemawiał do nas, aby dawać miedź i klejnoty na armaty i obronę Ojczyzny – w ciągu kilku godzin ludzie naznoscili kilka wozów rondli, blach, nawet biedni ludzie dawali

moździerze, które są świętością w każdym kobiecym gospodarstwie. Całe stopy na stolikach koło cerkwi zebrano srebra i złota, klejnotów, zegarków, łańcuszków i pierścieni. Dawali obrączki, odpinali broszki, kolczyki. [...] Prócz tego zebrano 120 tysięcy marek.

Na dziś rano oczekiwano wojska, które miało bronić Płocka. Panie całą noc obierały kartofle – ale dotąd nic. Uformowała się straż bezpieczeństwa z samych chłopaczków. My kobiety chcemy się zorganizować do obrony, bo już do miasta ze wsi naszło mnóstwo różnego motłochu, wszyscy mężczyźni z nakazu wyższego mają opuścić miasto.

Płock, 14 sierpnia 1920

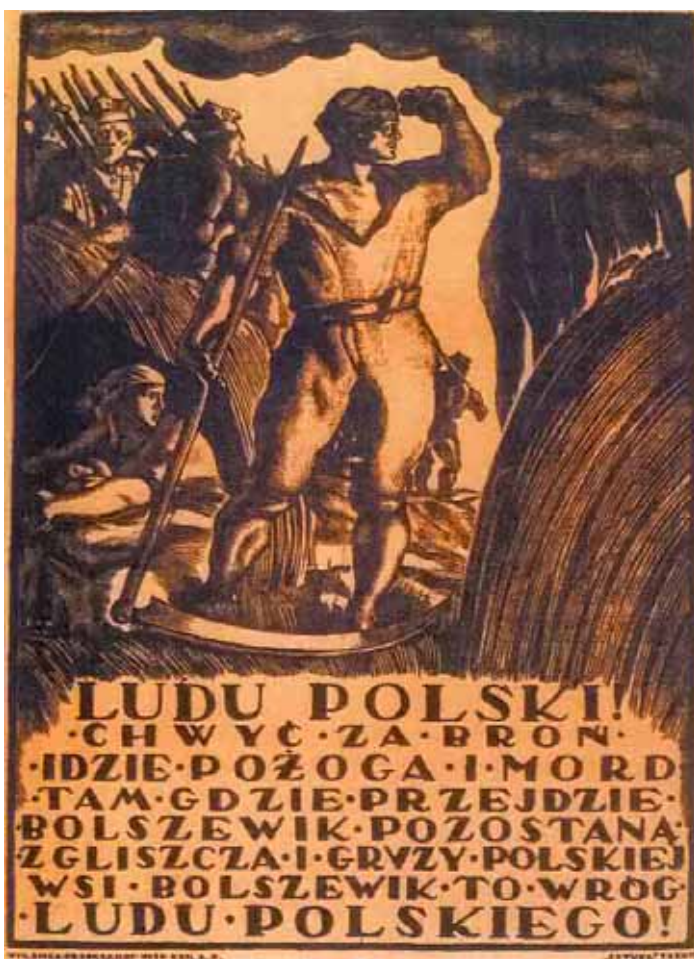
[Listy Marii Macieszyny,  
„Notatki Płockie” z. 2/1997]

**Maria Dąbrowska** (pisarka) w **dzienniku**:

Jest już teraz bitwa pod Warszawą. Dziś w nocy z naszych okien słychać było armaty i widać łuny. [...] Wracamy co dzień z biura w jakimś wspaniałym nastroju, mimo że miasto wygląda jak obozowisko albo targowica, pełne uchodźców, zwłaszcza ziemiańskich, pełne wozów, krów, owiec, koni, bryczek, ludzi. Pogoda cudna, upały, nic nie wierzę, aby bolszewicy mieli wejść do Warszawy, choć są tuż, tuż...

Warszawa, 15 sierpnia 1920

[Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, t. 1, 1914–1932,  
Warszawa 1988]



**Karol Wędziagolski** (inżynier, współpracownik antybolszewickiego Rosyjskiego Komitetu Politycznego w Polsce):

Wyjechaliśmy z [Wiktorem] Sawinkowem [przywódcą Rosyjskiego Komitetu Politycznego] pod front. [...] Po drodze z pewnym zdziwieniem oglądaliśmy obok szosy szereg pozycji najcięższej artylerii, o której istnieniu nie wiedzieliśmy. Wzdłuż drogi stały spżżowe olbrzymy, ósmio- i więcej calowe potwory z zadartymi na daleki zasięg lufami. Koło nich żwawo uwijali się jacyś dziwni artylerzyści, raczej podobni do doktorów filozofii niż do ogniomistrzów, pod komendą fejerwerkerów starej rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej armii. Strzały tych kolubryn ogłuszały do granicy wytrzymałości uszu, lecz jakże radowały nasze serca.

[...] W Wyszkowiu jeszcze nieprzyjaciel. [...] Lawirując między rzadkimi sosnami, nadjeżdżają

dwie armaty. Ustawiają się jedna za drugą w odległości stu metrów na różnych poziomach spadku leśnego wzgórza i po paru minutach otwierają ogień ze strasznie hałaśliwych gardzieli. Ta na wzgórzu usiłuje, jak się orientujemy, wymacać kulomioty. Wali w jakąś bardziej wyniosłą kamieniczkę nad rzeką, strzela trzy razy i karabiny milkną. [...]

Uważnie obserwowałem spod oka mojego rosyjskiego przyjaciela. Musiałem stwierdzić, że nie grał ani inteligenckiej tragedii, ani dyplomatycznej komedii. Był szczerze i gorąco przejęty powodzeniem sprawy, za którą opowiedziało się jego sumienie i rozumienie. Może niejeden Polak mógłby się zawstydić swojej powściągliwości w entuzjazmie, obserwując ogień zwycięskiego triumfu w oczach tego Rosjanina na widok pogromu jego braci.

Pod Wyszkowem, 15 sierpnia 1920

[Karol Wędziagolski, *Pamiętniki*, Londyn 1972]





Sierpień 1920. Generał Władysław Sikorski ze sztabem 5 Armii podczas bitwy warszawskiej. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

**Witowt Putna** (dowódca bolszewickiej 27 Dywizji Strzeleckiej):

Z powodu dużych strat w ciągu kilku ostatnich dni pułki szybko tajały, amunicja wyczerpała się. Ludzie byli w stanie skrajnego wyczerpania. Nastąpił moment, kiedy nie tylko pojedyncze jednostki, a cała masa straciła wiarę w skuteczność walki z przeciwnikiem, wiarę w szansę na wygraną. Struna, która naprężała się od momentu sforsowania Bugu, pękła. Nocą z 15 na 16 sierpnia upewniłem się, że będziemy zmuszeni się cofnąć, my – to znaczy nie tylko nasza jedna dywizja, ale cała armia.

Pod Radzyminem, 16 sierpnia 1920

[Witowt Putna, *K Wisle i obratno*, Moskwa 1927, tłum. Agnieszka Knyt]

**Kpt. Józef Godlewski** (Oddział II Sztabu Generalnego WP):

Z brzaskiem Józef Piłsudski, wraz z najbliższym sztabem, wśród którego znajdował się gen. Leśniewski oraz ja, jako adiutant, wyruszył na linię boju w okolicy Ryk koło Puław. Pomimo naszych próśb, by się nie narażał, Piłsudski szedł pieszo w pierwszych szeregach piechoty. Na zmianę z adiutantami niosłem małą walizczkę z orderami, którymi po boju Piłsudski natychmiast dekorował za osiągnięcia, bohaterstwo i odwagę ofi-

cerów i szeregowych. W żołnierzy wstąpił nowy duch. Po krótkim, zaskakującym boju Ryki zostały zdobyte i pierwsi jeńcy wzięci do niewoli.

Ryki, 16 sierpnia 1920

[Józef Godlewski, *Na przełomie epok*, Londyn 1978]

**Kpt. Charles de Gaulle** (członek francuskiej misji wojskowej w Polsce):

Ofensywa rozpoczęła się świetnie. Grupa Manewrowa, którą dowodzi szef państwa, Piłsudski, [...] szybko przesuwa się na północ. Nieprzyjaciel, całkowicie zaskoczony widokiem Polaków na swoim lewym skrzydle, o których myślał, że są w stanie rozkładu, nigdzie nie stawia poważnego oporu, ucieka w rozsypane na wszystkie strony albo poddaje się całymi oddziałami. Zresztą w tym samym czasie uderzenie Rosjan na Warszawę załamało się [...] Ach! Cóż to było za piękne posunięcie! Nasi Polacy jak gdyby przypięli skrzydła, aby je wykonać; ci sami żołnierze, przed tygodniem wyczerpani fizycznie i moralnie, biegają naprzód, pokonują dziennie 40-kilometrowe etapy.

17 sierpnia 1920

[Charles de Gaulle, *Bitwa o Wisłę. Dziennik działań wojennych oficera francuskiego*, „Zeszyty Historyczne” z. 19, 1971]



#### Z artykułu w „Żołnierzu Polskim”:

Jaki żołnierz zwycięża? Taki, który umie stać. [...] Zwycięża nie amunicją, nie ilość wojska, nawet nie wyborne wyszkolenie, ale zwycięża jedynie odważna postawa wojska. Kto ma mocniejszy charakter, ten zwycięża. Tchórz obładowany granatami, rewolwerami i szablami ucieka przed śmiałkiem, który ma tylko bagnet w garści. Im odważniej nacierasz, bracie żołnierzu, tym więcej masz prawdopodobieństwa pokonania liczniejszego nawet nieprzyjaciela.

Nasi chłopcy sto razy robili takie doświadczenia z bolszewikami. Idzie banda czerwonogwardyjska. Naszych jest dwudziestu – tamtych pięćdziesięciu. Wyją, krzyczą, świszczą, chcą naszych przestraszyć, biegną. Nasi stoją. Rozsypali się na miejscu w tyralierę i gotowi do strzału spokojnie czekają. Impet oddziału bolszewickiego słabnie na widok twardej postawy naszych zuchów. Biegną coraz mniej pewnie i przestali krzyczeć. Nasi nawet nie strzelili jeszcze, a tamci już są onieśmieleni, już przystają, już się zawahali. Wtedy nasi ognia! I znów ognia! W bolszewickiej bandzie zabici, ranni i zamęt; przeleciał ich strach. Nasi ruszają na nich żwawo. Tamci w nogi.

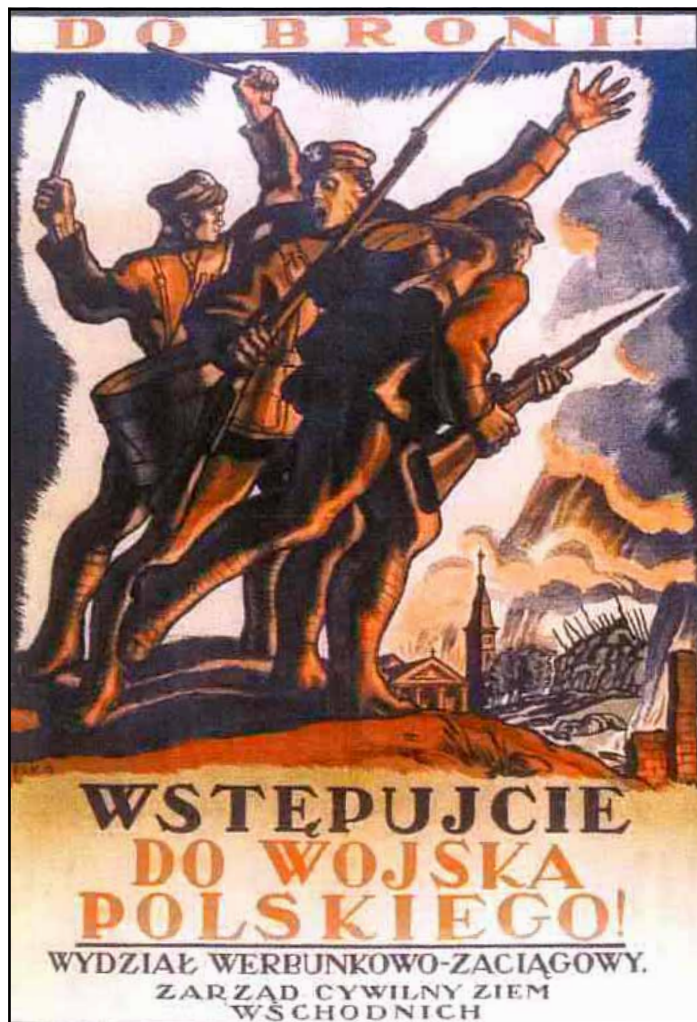
[...] Stój! Rozpoczynamy kontrofensywę. Nieprzyjaciół goni resztkami sił.

Warszawa, 17 sierpnia 1920  
[Stój!, „Żołnierz Polski” nr 145/1920]

#### Z informacji w „Górnoślązaku”:

Przyszło do nowych zaburzeń. Około godziny szóstej zebrały się wielkie tłumy demonstrantów przed hotelem „Deutsches Haus”, w którym się mieści Polski Komisariat Plebiscytowy. Tłum zażądał wydania broni, gdyż spodziewał się, że w Komisariacie jest jej pod dostatkiem. Żądaniu temu nie uczyniono zadość, poczym wywiązała się przed Komisariatem zacięta walka. Około godziny ósmej tłum wzniecił ogień w dolnych pokojach hotelu. Gdy płomień gasły, przyniesiono balony napełnione płynem łatwopalnym, które eksplodowały. Następnie wdarł się tłum do wnętrza budynku i wywłókł na ulicę osoby znajdujące się w biurach Komisariatu, rzucając je na pastwę rozbestwionych demonstrantów. Jedną osobę zastrzelono, dwie inne zamordowano. Wszelkie akta znajdujące się w biurach Komisariatu wyniesiono na ulicę i zniszczono je. Budynek hotelowy jest zupełnie zburzony.

Katowice, 18 sierpnia 1920  
[Krwawa noc w Katowicach,  
„Górnoślązak” nr 189/1920]







Sierpień 1920. Jeńcy sowieccy wzięci do niewoli pod Radzyminem. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe Wojskowego Biura Historycznego

**Janina Śmieciuszewska-Rościszewska** (członkini Służby Narodowej Kobiet Polskich) w **dzienniku**:  
Te okopy – pożał się Boże jakie – ledwie głowę w nich można schować, a w dodatku nie ma łączności, przerwy ogromne między jednym odcinkiem a drugim. Trzeba przebiegać gołym polem. I jak tu łączność utrzymać? [...] Z ciężkim sercem dobrnęliśmy do ostatniego punktu. Dalej już nie było wojska. Podobno poszli naprzód odbierać bolszewikom jakąś wieś. [...]

W ogóle ludność cywilna, gdzie tylko mogła, pomagała. [...] Stałam wówczas koło rannego przy słupie ogłoszeniowym. Opatrywałam go, ale ruszyć się nie mogłam poza ten słup, bo natychmiast z Warszawskiej padały salwy. I tak on leżał, a ja przy nim stałam. Z każdej bramy jednak leciały ku nam życzliwe spojrzenia i pomoc dla żołnierzy: papierosy, owoce, różności. W tym współdziałaniu cywilów z wojskiem było coś tak wzruszającego, że uklękam za tym słupem, Bogu dziękując za to zjednoczenie serc w wielkim pragnieniu zwycięstwa.

Płock, 19 sierpnia 1920  
[Kartka z dziennika (19 sierpnia 1920 r.),  
„Notatki Płockie” z. 4/2012]

### **Płk Juliusz Rómmel**

(dowódca 1 Dywizji Kawalerii WP):

Tuż przed naszym wzgórzem nagle wylądował polski samolot. Z aparatu wyskakuje dzielny lotnik, biegnie w naszym kierunku, wymachując ku nam z daleka jakąś depeszą. Była to, jak się okazało, depesza z Armii. Czytam. [...] Litery i cyfry skaczą mi przed oczyma w fantastyczny sposób. Nareszcie rozumiem! [...] Stało się coś tak niezwykłego, tak radosnego! Czegoś tak przyjemnego nie słyszeliśmy od dawna. Fala szczęśliwości zalewa mi mózg i serce. Słyszę radosny głos lotnika po raz już chyba setny powtarzającego zgromadzonym wokół oficerom, że Warszawa uratowana! Bolszewicy pobici na głowę nad Wisłą! Cała ich armia ucieka w najwyższym popłochu. Tysiące jeńców, setki armat dostały się jako zdobycz w nasze ręce. Komendant przebywa przy armii i dowodzi osobiście.

Kulików pod Lwowem, 19 sierpnia 1920

[*Moje walki z Budiennym.*  
*Dziennik wojenny b. d-cy 1 Dywizji Kawalerji*  
*generała dywizji Juljusza Rómmla, Lwów 1932]*



**Lew Trocki** (ludowy komisarz spraw wojskowych): Kiedy niebezpieczeństwo zagrażające armii Tuchaczewskiego stało się całkiem wyraźne, a głównodowodzący wydał rozkaz, by front Południowo-Zachodni zmienił gwałtownie kierunek ofensywy na Zamość-Tomaszów, [...] dowództwo frontu, z podpisem Stalina, kontynuowało marsz na zachód. Przez trzy albo cztery dni nasz Sztab Generalny nie mógł wyegzekwować tego rozkazu. Dopiero po wielokrotnych ponagleniach, popartych groźbami, dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego zmieniło kierunek ofensywy, ale wówczas zwłoka była już niepowetowana. 16 sierpnia Polacy przeszli do kontrnatarcia i zmusili nasze oddziały do odwrotu. [...] Gdyby Stalin, Woroszyłow i analfabeta Budionny nie prowadzili własnej wojny w Galicji, a Czerwo-

na Konnica znalazła się na czas w Lublinie, Armia Czerwona nie doznałaby klęski.

[Norman Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, Kraków 1997]

### Z informacji w piśmie „Ochotnik”:

U jeńców wziętych w ostatnich bitwach pod Warszawą znaleziono odezwy, nawołujące głosem rozpacz do wytrwania. W obawie o to, że Czerwona Armia nie wytrzyma już poczynającej się ofensywy wojsk polskich, komisarze bolszewicy obiecują jej bogaty łup w Warszawie, odpoczynek i dowolne pohulanie. Dzięki horda bolszewicka najwidoczniej zwątpiła o swoich siłach, cofa się i rozłazi, a Trocki i komisarze czynią ostatnie wysiłki, by zmusić ją jeszcze obietnicami rozboju.

Warszawa, 19 sierpnia 1920

[*Bolszewicy słabną!*, „Ochotnik” nr 9/1920]

### Gen. Maxime Weygand

(członek misji sojuszniczej):

Wspaniałe zwycięstwo polskie pociągnie za sobą konsekwencje o nieobliczalnej ważności dla sytuacji międzynarodowej. Skonsoliduje ono Państwo Polskie, którego istnienie jest konieczne dla bezpieczeństwa

Francji. Niemcy, które już miały nadzieję wejść w stosunki bezpośrednie z Sowiecami, aby rzucić czerwone armie przeciw wrogowi zza Renu, będą zmuszone wyrzec się osiągnięcia tymi środkami przekreślenia traktatu wersalskiego. [...]

To zwycięstwo, które jest powodem wielkiego święta w Warszawie, jest zwycięstwem polskim. Przewidujące operacje wojskowe zostały wykonane przez generałów polskich na zasadzie polskiego planu operacyjnego. Moja rola, jako też rola oficerów z misji francuskiej, ograniczyła się do wypełnienia kilku braków w szczegółach wykonania. [...] To bohater-ski naród polski sam siebie uratował.

Warszawa, 20 sierpnia 1920

[Jacques Weygand, *Weygand. Mój ojciec*, „Zeszyty Historyczne” z. 19, 1971]

## CUD NAD WISŁĄ - 1920 BITWA WARSZAWSKA



**S**to lat temu zdarzył się wielki militarny sukces, ale także zbiorowa odpowiedź na pytanie o Polskę. Półtoraroczna Rzeczpospolita nie zdążyła dojrzeć, a już na szalę postawiony został cały byt Narodu. Zwycięstwo określiło charakter tożsamości: Polacy masowo opowiedzieli się za niepodległością, a przeciw totalnej ideologii; powstrzymali napór bolszewizmu.

Wyprawa na Kijów wiosną 1920, będąca finalnie militarną katastrofą, rozgrywała się na planie międzynarodowym. Koncept wziął się z fałszywego przekonania, że odrodzona Niepodległa może w Europie Wschodniej pełnić rolę dawnej Rzeczpospolitej, dominującej w regionie. Wejście do Kijowa było ostatnim w historii triumfem Polski mocarstwowej; gwałtowność odwrotu – dowodem, jak bardzo pozorna to jej postać. Bitwa warszawska, choć wynikała wprost z kampanii kijowskiej, stała się jej formacyjnym przeciwieństwem. Perspektywa zaprowadzania ładu w „bliskiej” obczyźnie zastąpiona w niej została całopalną mobilizacją Ojczyzny.

Siłą identyfikacji obywatelskiej odparto najazd obcej ideologii. Front, wzmocniony cywilami, okazał się skuteczny, nie trzeba było wypatrywać ingerencji Opatrzności. Kluczowe stało się odczytanie zaszyfrowanego rozkazu ataku na Warszawę, a potem skutecznie rozegrana kontrofensywa. Nastąpiło wtedy jednak coś nadzwyczajnego. Ani wielkie zasługi kryptologów, ani samego Józefa Piłsudskiego i jego

generałów nie wystarczyłyby, by uderzenie odeprzeć. Bolszewicy trafili na wał obronny narodu, którego przejść nie zdołali.

Polskie społeczeństwo – rozdierane wcześniej interesami partyjnymi, rozwibrowane sprzecznymi demagogiami, nieuwolnione od głębokich niesprawiedliwości – stanęło razem w imię jednej racji. Siłami wszystkich warstw ocalony został byt niepodległy. Nie był to czas postaw demokratycznych czy honorowania praw człowieka – wojna niosła skrajną brutalność, a stawiać na szalę trzeba było samych siebie. Motywacja jednak nie wynikała z nienawiści, raczej – z głębokiego zawierzenia krajowi; z przekonania, co zadecyduje o sensie istnienia. Obywatele dali dowód, że ochrona państwa jest dla nich najwyższym dobrem.

Tamtą Rzeczpospolitą, mentalnie zespoloną latem 1920, można uznać za przeciwieństwo kraju dzisiaj spolaryzowanego. Zawieszenia ówczesnych wewnętrznych walk partyjnych, choć krótkotrwałe, współcześnie nie sposób sobie nawet wyobrazić. Uprawiana dziś coraz krzykliwiej propaganda „mocarstwowa” jest symptomem narastającej słabości; podobnie jak zadufanie sprzed odwrotu spod Kijowa. Prawdziwa polska siła objawiła się tamtego lata – moc obywatelska byłaby też lepszym gwarantem na przyszłość.

**Zbigniew Gluza**

# OBRAZ „CUD NAD WISŁĄ”



Obraz pt. „Cud nad Wisłą” namalowany został przez Jerzego Kossaka w 1930 roku. Jest obrazem o charakterze batalistycznym, który ukazuje bitwę warszawską.

Bitwa ta, nazywana jest potocznie „cudem nad Wisłą”, ponieważ zwycięstwo Polaków nad Armią Czerwoną było nieoczekiwane i przez wiele osób uważane za Opatrzność Bożą. Dlatego też w lewym górnym rogu obrazu ukazana jest Matka Boża, która posyła symboliczną husarię na pole walki.

Pierwszy plan przedstawia zacięłą walkę między polską piechotą a wrogiem, który przegrywa starcie. Symbolizuje to upadający czerwony sztandar, w który dodatkowo wbijany jest polski bagnet. W szeregach wroga zauważyć też można żołnierzy, którzy w geście kapitulacji podnoszą ręce do góry, a na ich twarzach widnieje strach i nienawiść. Natomiast polska chorągiew z krzyżem kawalerskim uniesiona jest ponad głowami walczących. W całym zamieszaniu dostrzec można skauta, kobietę w mundurze, niemieckiego żołnierza oraz wyeksponowaną postać ks. Ignacego Skorupki, który wraz z krzyżem podnosi morale Polaków i zagrzewa ich do boju. Na drugim brzegu Wisły znajduje się Józef Piłsudski wraz z oddziałem kawalerii.

Jerzy Kossak pokazuje obserwatorom obrazu możliwie jak najwięcej szczegółów z bitwy warszawskiej. Autor swym dziełem podkreśla też, że cały naród stanął w obronie ojczyzny, która ledwie co odzyskała niepodległość. Polacy ocalili przed bolszewikami nie tylko swój kraj, ale także zachód Europy. Wszystko to możliwe było wyłącznie dzięki Opatrzności Bożej, odwadze i wysiłkowi Polaków.

# WIARYGODNOŚĆ

Trzy lata temu ówczesny Sekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych p. Jan Dziedziczak przesłał na moje ręce następujące słowa:

**Pan Roman Śmigielski**  
**Redaktor Naczelny**  
**Kwartalnika Społeczno-Kulturalnego**  
**Informator Polski**

Szanowny Panie Redaktorze,

*Z ogromną przyjemnością składam na Pana ręce wyrazy wdzięczności oraz gratulacje dla redakcji, całego zespołu i wszystkich współpracowników Kwartalnika Społeczno-Kulturalnego Informator Polski za 25 lat konsekwentnych działań na rzecz Polonii w Danii, promocji współpracy polonijnej, a wreszcie kształtowania postaw patriotycznych Polaków poza granicami naszego kraju.*

*Informator Polski to kwartalnik społeczny stawiający sobie za cel kształtowanie postaw społeczności polonijnej, zachęcanie do współpracy Polaków poza granicami naszej ojczyzny i utrwalanie polskiej tożsamości. Od początku swego istnienia, tj. od 1992 r., kiedy na maszynie do pisania przygotowano pierwszy egzemplarz po dzisiejszą internetową postać pisma, redaktorzy Informatora Polskiego niestrudzenie wypełniają swą misję, apelując do duńskich środowisk polonijnych o harmonijną współpracę, zachęcając do współdziałania i kształtując postawy Polaków w Danii. Zawsze pamiętaliście Państwo o zachowaniu więzi z krajem, ale też ze społecznościami polonijnymi na całym świecie.*

*Informator to także kwartalnik kulturalny, którego celem pozostaje krzewienie kultury polskiej, postaw patriotycznych oraz dbałości o piękno współczesnej polszczyzny. To pismo nie tylko ukazujące aktywność polskiej społeczności w Danii, w tym przez stałe kolumny rysunkowe i felietony, ale też ratujące od zapomnienia ślady polskości na całym świecie, przypominające miejsca i postaci z historii polskiej literatury, malarstwa czy innych form twórczości artystycznej i kulturalnej.*

*Nie sposób wymienić i podziękować indywidualnie wszystkim, którzy przez ćwierć wieku tworzyli pismo – redaktorów, poetów, rysowników, fotografików, drukarzy, kolporterów i grafików. Nie można jednak nie wspomnieć o pierwszym redaktorze naczelnym Informatora Polskiego, Panu Ryszardzie Strzelbickim, który odszedł od nas w 2016 roku, o patronie inicjatywy powstawania kwartalnika. Panu Stefanie Żórawskim, czy jednej z pierwszych redaktorek, Pani Grażynie Dołhań.*

*Moje wyrazy uznania i gratulacje kieruję za Pana pośrednictwem do całej redakcji Informatora Polskiego. Za obchodzonym w 2017 rokiem jubileuszem kryje się ogrom Państwa pracy i wytrwałe zabiegi o zachowanie jedyne go dziś czasopisma polonijnego ukazującego się w Danii. Proszę przyjąć serdeczne życzenia sukcesów i pomyślności w oczekiwaniu na 100 numer Informatora Polskiego oraz na złoty jubileusz Kwartalnika.*

Z wyrazami szacunku,

**Jan Dziedziczak**



27 maja br. pan Jan Dziędziczak, obecnie Pełnomocnik Rządu ds. Polonii i Polaków za granicą, na posiedzeniu senackiej Komisji Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą zadeklarował m.in.:

*„Trzeba zrobić wszystko, aby utrzymać redakcje mediów polonijnych” (...). Istotne było to, aby media polonijne dostały zastrzyk środków, aby one nam nie poupadały”.*

*„Doskonale wiemy, że upadek mediów polonijnych i wyzwania związane później z ich odtworzeniem są nieporównywalnie trudniejsze niż ich utrzymanie. Jak wypowiedzą siedzibę, sprzedadzą sprzęt, zlikwidują redakcję”.*

*„Stworzenie czegoś w to miejsce, jak już kryzys ekonomiczny związany z koronawirusem się zakończy, będzie bardzo trudne”.*

Tydzień później, w dniu 3 czerwca br., ze Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” redakcja „Informatora Polskiego”, otrzymała następującą informację:

*Z przykrością informujemy, że z uwagi na ograniczone środki finansowe w 2020 r. Państwa wniosek złożony w obszarze „Media polonijne – gazety, portale, audycje radiowe i telewizyjne, szkolenia, modernizacja redakcji” nie uzyskał w tym roku dofinansowania.*

Nie wiemy kto konkretnie podjął decyzję o odmowie dofinansowania dla naszego kwartalnika, czy byli to współpracownicy pana Jana Dziędziczaka, czy pracownicy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, ale oznacza to, że „Informator Polski”, po 28 latach i 109 wydanych numerach, zakończy swoją działalność jako drukowany kwartalnik, a należności za druk i kolportaż – ostatniego jak dotąd wydrukowanego numeru – nr 1-2 (108-109) 2020 będziemy zmuszeni pokryć z naszych prywatnych środków. Mamy nadzieję, że będziemy w stanie kontynuować wydawanie kwartalnika „Informator Polski” w wersji elektronicznej i umieszczać na stronie:

(<http://federacja-polonia.dk/informatorarchiwum.html>)

Za dwa lata kwartalnik mógłby obchodzić 30-lecie działalności. Niestety, wygląda na to, że wtedy kwartalnika „Informator Polski” w wersji drukowanej już nie będzie.

Tyle w temacie WIARYGODNOŚĆ.

**Roman Śmigielski**

# „CENZURA JEST JAK STARA KOCHANKA...”,

czyli o czym pisano w poufnych poradnikach dla cenzorów

**T**rzydzieści lat temu zlikwidowano Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPiW). Mieszczące się przy ulicy Mysiej w Warszawie „Ministerstwo Prawdy” przez blisko pół wieku kształtowało obraz kultury polskiej – „opieką” państwa próbowało objąć wszystkie wytwory twórczej aktywności człowieka, w konsekwencji czego także na naklejkach na chleb znajdowano numer cenzorski.

Oczywiście, tak zaprojektowany aparat inwigilacji nie był doskonały, bo przecież na rynek wydawniczy trafiały publikacje drugiego obiegu, wydawane bez nadzoru państwa, poza tym do kraju docierały przemycane przez granice książki wydawane przez oficyny emigracyjne, np. Instytut Literacki, Aneks czy Puls (pewną rolę odegrała w tym także emigracja polska w Danii). Jednak większość produkcji literackiej, jaka trafiała na rynek wydawniczy, musiała

przejsć cenzorskie sito. Sito, którego oka nie zawsze działały tak, jak by sobie tego życzone – zatrzymywano teksty, którym za chwilę udzielano imprimatur albo przeciwnie, dopuszczano do druku materiały „szkodliwe” czy wręcz ośmieszające powagę Urzędu – przykładem hasło pierwszomajowe „**Nie żyje** Wielka Partia Komunistyczna” (zamiast oczywiście „niech żyje”); tego typu przeoczeń obawiano się nie mniej niż merytorycznych wpadek.

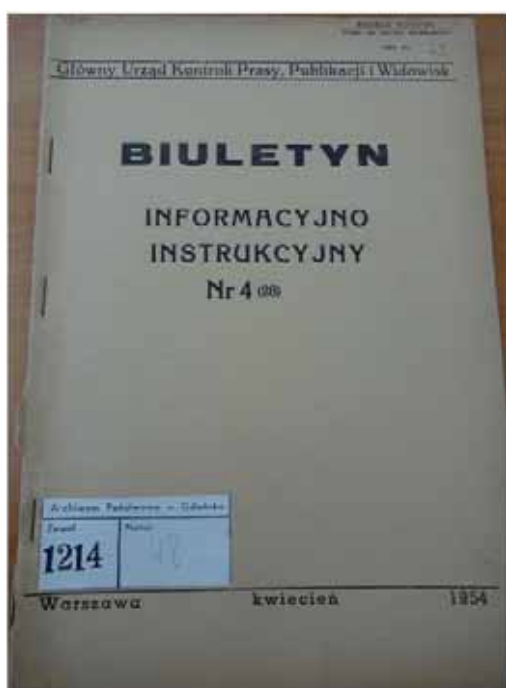
By uniknąć takich sytuacji, już w roku 1945 wydano pierwszy numer poufnego biuletynu dla cenzorów.

## Czym były biuletyny urzędu cenzury?

Najprościej odpowiedzieć – tajnymi poradnikami skierowanymi do pracowników „Mysiej” i delegatur terenowych. Nie wiemy, czy pismo wydawano regularnie przez cały okres istnienia cenzury, chociaż



Budynek Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk przy ulicy Mysiej w Warszawie



Okładka „Biuletynu Informacyjno-Instrukcyjnego” z kwietnia 1954 r. (APG, WUKPPIW, sygn. 48). Z archiwum prywatnego autorki.

trzeba pamiętać, że na „Mysiej” i dla „Mysiej” produkowano setki innych dokumentów szkoleniowo-instruktażowych – jak wyglądały, przekonuje m.in. wydana w 1977 r. dzięki Tomaszowi Strzyżewskiemu, byłemu cenzorowi, *Czarna księga cenzury PRL*. Te biuletyny, które do tej pory odkryliśmy, czyli z lat 40. i 50., różniły się od „suchych” rozporządzeń i w zasadzie, gdyby nie ich poufny charakter, można by je traktować jak jedno z wielu wewnętrznych pisemek, wydawanych na użytek pracowników danego zakładu, w tym przypadku urzędu cenzury. Pismo wychodziło zazwyczaj jako miesięcznik, a przeciętny numer liczył kilkadziesiąt, nawet przeszło 100 stron – dość sporo jak na broszurę „zakładową”, ale w kontekście wszechobecnych działań cenzury, to i tak za mało, by opisać totalną, systemową kontrolę.

W biuletynach drukowano artykuły odredakcyjne oraz korespondencję „z terenu” – sprawozdania, bilanse, recenzje cenzorskie, listy nadsyłane przez zespoły cenzorskie lub konkretnych pracowników. Większość korespondencji była jednak pisana z zachowaniem choćby w części zasad typowych dla pism kancelaryjno-urzędowych, dotyczyło to szczególnie sprawozdań i raportów. Zdarzały się jednak przykłady swobodniejszych wiadomości, które przybierały charakter subtelnej (tzn. kontrolowanej) krytyki współpracowników czy nawet naczelników delegatur, publikowano także głosy młodych, nieopierzonych adeptów „sztuki cenzorskiej”, a także pisane w tonie dość osobistego wyznania listy, jak

np. ten, cenzora z Olsztyna, pod dość emocjonalnym tytułem *Spójrzmy sobie w oczy towarzysze...*

Doskonałą okazją do wyrażenia swojego zdania o samym piśmie i Urzędzie Kontroli była zorganizowana przez redakcję w roku 1956 ankieta z okazji dziesięciolecia istnienia Urzędu – jeden z cenzorów tak opisał swój stosunek do, bądź co bądź, pracodawcy: „Cenzura jest jak stara kochanka. Często ma się jej dość, nieraz męczy, złości, a zna się wszystko aż do znudzenia. A jednak odejść trudno”.

Jak widać, redakcji zależało, by pismo stało się polem wymiany nawet tych nietuzinkowych doświadczeń zawodowych między pracownikami, a nawet swoistym „konfesjonalem”, w którym szeregowy funkcjonariusz daje świadectwo swej wiary lub troski o Urząd. Nie można oczywiście mówić o otwarciu się redakcji na prawdziwy dialog, ponieważ zamieszczano tylko te materiały krytyczne, które można było odpowiednio wykorzystać, atakując wybrane zespoły cenzorskie, poszczególnych funkcjonariuszy czy nawet całą brać cenzorską, lecz nigdy system. Jednak z pewnością zachęcanie do swobodnej wypowiedzi, odmiennej od nużących sprawozdań i bilansów, miało na celu rozluźnienie sztywnej formy periodyku i uczynienie go bardziej przyjaznym.

Do najczęściej poruszanych tematów należały sprawy organizacji i warunków pracy w Urzędzie oraz kwestie związane z właściwą, tj. zgodną z linią Partii oceną książek i gazet. Nie brakło materiałów, które obnażały „etykę” pracy w urzędach terenowych. W jednym z listów cenzor ubolewał nad co najmniej nagannym zachowaniem kolegów z referatu oceniającego książki, którzy w trakcie omawiania spraw prasowych „zajmowali przeważnie miękko wyściełane fotele i kanapę” i „drzemali albo myśleli o niebieskich migdałkach”. Cytat można potraktować z przymrużeniem oka, bo zapewne nie wszędzie panowało takie bezhołowie; jednak cenzor zwrócił uwagę na rzeczywiste bolączki Urzędu, a mianowicie na brak koordynacji działań i wewnętrzne przepychanki między referatami.

### Jak kontrolowano kulturę?

Mimo że w piśmie dominowały zagadnienia *stricto* polityczne, społeczne i gospodarcze, podejmowano także tematykę kulturalną. Pisano przede wszystkim o kontroli literatury, ale także o kontroli teatru, filmu, radia, a w jednym wypadku odwołano się do gry planszowej – chodziło o *Przygody w dżungli*, planszówkę z lat 50., którą z uwagi na elementy rasistowskie zatrzymano na około dwa lata. Wedle cenzorów plansza do gry, przedstawiająca białego człowieka w otoczeniu czarnoskórych mieszkańców afrykańskiej wioski, idealizowała „białych imperialistycznych





kolonizatorów, pokazując zarazem »dzikość« i »niższość« ludzi o ciemnej skórze”. Przykład ciekawy, bo w mojej ocenie decyzja była słuszna, chociaż wtedy stały za nią przynajmniej częściowo inne przesłanki niż w roku 2020 – „Mysia” z chęcią wykorzystywała powojenną dekolonizację do celów politycznych, traktując wyzwalanie się terytoriów zależnych spod panowania Anglików czy Francuzów jako przejaw końca grabieżczej polityki imperialistów.

Planszówka to jednak wyjątek, cenzorzy o wiele chętniej sięgali po literaturę, szczególnie tę współczesną. Znajdziemy kilka znanych nazwisk, jak choćby Różewicza, Mrożka, Słonimskiego, Iłakowiczównę, jednak pojawiają się oni sporadycznie. Większość artykułów dotyczy twórców albo dziś już nieco zapomnianych, ale takich, którzy wówczas rządili zbiorową wyobraźnią, albo takich, którzy z przyczyn politycznych musieli znaleźć się w biuletynie, że wymienię Bogdana Brzezińskiego, Bohdana Czeszkę, Zofię Drózd-Satanowską, Józefa Kuśmierka czy Stanisławę Sowińską. Ten ostatni przypadek jest szczególnie uderzający, bo materiał o *Latach walki* Sowińskiej opublikowano kilka miesięcy po jej aresztowaniu – towarzysze analizowali pamiętnik stronniczki Gomułki, gdy ta była już przesłuchiwana w stalinowskich katowniach (które opuściła dopiero w 1954 r.).

### Cenzor jako... artysta

Nie jest tajemnicą, że część cenzorów godziła pracę w Urzędzie z aktywnością krytycznoliteracką i artystyczną; przypomnijmy chociażby Jerzego Kleynego, który ogłaszał swoje teksty i w biuletynach i w „Szpilkach”. Jak się okazuje, funkcjonariusze podejmowali także rywalizację na polu, nazwijmy ją, „krytyki cenzorskiej”. Tak było np. w sierpniu 1952 r., gdy ogłoszono wśród cenzorów konkurs (z nagrodami książkowymi!) na recenzję powieści *Rzeki płoną* Wandy Wasilewskiej – tytuł oczywiście wybrano nieprzypadkowo, wszak Wasilewska doskonale wpisywała się w obowiązującą wówczas narrację

o losach Polaków zabużańskich. W biuletynie można przeczytać trzy wyróżnione recenzje. Cenzorzy byli ponadto nagradzani za opracowanie haseł do *Małego Słownika Historycznego*, który także publikowano na łamach periodyku.

Dzięki biuletynom możemy poznać twórczość literacką funkcjonariuszy, która w bezpośredni sposób łączyła się z ich pracą zawodową i stanowiła „artyściczne” świadectwo ich zawodowych doświadczeń. W miesięczniku ogłoszono kilkanaście takich utworów, a jeden z nich, przygotowany przez Komisję Satyryczną działającą przy GUKPPIW, wystawiono na Mysiej 22 stycznia 1955 r. Niestety nic nam nie wiadomo, by zachowało się nagranie z tego przedstawiania, a szkoda...

Jako rekompensatę zacytujmy na koniec ogłoszony w biuletynie wiersz, którym towarzysze z delegatury łódzkiej żegnali odchodzącego z pracy kolegę:

#### *Pieśń pobożna*

*Żył sobie jeden święty w Urzędzie  
Co chadzał bez aureoli.  
Ach jego pamięć zawsze żyć będzie  
Pośród cenzorskich pokoleń.*

*Bowiem w swym życiu, w tym WuUKaPe  
Grzechów on nie miał nijakich.  
I zawsze słuszne wygłaszał sądy  
W mnogich dyskusjach wszelakich.*

*Lecz i świętemu Urząd się znudził,  
Więc rzecz gruntowne przemyślał.  
Po cóż mam kreślić, gdy inni piszą?  
Chcę pisać, niech inni kreślą!*

*I tak nam odszedł bez aureoli  
Ten socjalistyczny święty,  
I pozostawił nam łzy niedoli  
I serca bólem przejęte.*

*Od tego czasu w Urzędzie naszym  
Coś się po nocach panoszy.  
To ex-cenzora pamięć tu straszy  
I spokój Urzędu płoszy*

#### **Anna Wiśniewska-Grabarczyk**

pisarka, literaturoznawczyni, badaczka cenzury Polski Ludowej  
z Zakładu Literatury Polskiej XX i XXI wieku  
Uniwersytetu Łódzkiego;  
(nie)wyspiarka, od 2018 r. mieszka na wyspie Amager  
w Kopenhadze

*(artykuł powstał w oparciu o przygotowywaną do druku książkę autorki,  
pierwszą monografię poświęconą poufnym biuletynom cenzorskim)*

# DAJCIE MI ROZKAZ

**P**od wpływem doświadczeń z czasów walki o niepodległość – w ramach I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, walk o granice na wschodnich i zachodnich kresach Rzeczypospolitej – zmienił się sposób postrzegania roli kobiety na wojnie. W międzywojennej Polsce Przystosowanie Wojskowe Kobiet wspólnie ze Związkiem Harcerstwa Polskiego i Polskim Czerwonym Krzyżem przeszkoliło około miliona kobiet do pełnienia służby na wypadek wojny. Powoływanie kobiet do służby pomocniczej na wypadek wojny regulowała ustawa z 1938 roku.

Gdy 1 września 1939 Niemcy zaatakowały Polskę, kobiety masowo zgłaszały się do służby – według różnych szacunków w wojsku w czasie II wojny było ich od 60 do 80 tysięcy. Działały w czterech rodzajach formacji: w ramach podziemnego wojska polskiego, czyli Służbie Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej, w ramach tajnych organizacji niepodporządkowanych rządowi RP na uchodźstwie, w ramach wojska polskiego tworzonego na Zachodzie oraz w Związku Sowieckim przez generała Władysława Andersa, a także w ramach wojska polskiego tworzonego w Związku Sowieckim przez generała Zygmunta Berlinga.

W kampanii wrześniowej kobiety służyły jako lekarki, pielęgniarki i sanitariuszki, zajmowały się też obsługą punktów żywnościowych i ewakuowaniem ludności cywilnej. Po klęsce, w okresie konspiracji, włączyły się także w akcje dywersyjne, mały sabotaż i wywiad. Na mocy prawa – przywoływanej ustawy oraz rozkazu Komendanta Sił Zbrojnych z 25 lutego 1942 roku – udział kobiet w działaniach bojowych możliwy był tylko w akcji powstańczej. I istotnie – walczyły zarówno w powstaniu w getcie, jak i powstaniu warszawskim.

## **Zofia Zawadzka, członkini Przystosowania Wojskowego Kobiet, we wspomnieniach:**

„Prędej, bo się spóźnisz do szkoły”. Śpieszyć się? Ale właściwie dlaczego...? Mieszkam na Kruczej nr 7, a moje Gimnazjum im. Narcyzy Żmichowskiej znajduje się na rogu Wilczej i Mokotowskiej. Przecież to blisko. Przebiegnę, zdążę przed dzwonkiem, byle tylko kolejka do windy nie była zbyt długa, bo szkoła jest wysoko, na szóstym piętrze. Zakładam powoli granatowy mundur szkolny z niebieskimi lamówkami mając nadzieję, że będę go nosić ostatni rok, bo na przyszyły z pewnością założę z czerwonymi, będę przecież licealistką. Wypijam łyk ciepłego mleka i nagle, w jednej chwili, wszystko się zmienia. Ja i moje życie.

[...] Jeszcze tylko parę minut i to, tak czyste, błękitne niebo przecina cała eskadra samolotów, a na nich wymalowane czarne krzyże. Huk, dudnienie, wycie silników. Szyby w oknach drżą, a moje serce wali jak młot i ta przerażająca myśl, że to już nieodwołalnie wojna. Przeleciały, z dala dobiega gwizd lecących bomb.

Już nie idę do szkoły. Wszystko, co dotąd przeżyłam, zostawiam w pamięci jako pierwszy rozdział długiej książki mojego życia. Prysnęły marzenia, zgruchotały je na zawsze hitlerowskie bomby. [...] Ściągam gimnazjalny mundur i zakładam zielonoszary mundur szkolnej organizacji PWK. To skrót: Przystosowanie Wojskowe Kobiet, do którego należałam od roku. [...] „Mamo, nie mów już mi dziecko. Ja już nie mogę być dłużej dzieckiem”. A tu przez radio płyną ostrzeżenia „Uwaga. Uwaga nadchodzi!”. „Mamo, to nic, że nalot, że bomby, ja muszę stanąć na wezwanie”. Przecież jestem Polką, warszawianką, patriotką. Biegnę co tchu do szkoły, kawałek Kruczą, potem Wilczą do Mokotowskiej i pędem co drugi stopień na piąte piętro.

Dajcie mi rozkaz...

1 września 1939 [Wspomnienia świadków wybuchu II wojny światowej, „Dziennik Zachodni” 2009, 12 września]

**Bronisława Sanejko-Kwaśnicka,  
ochotniczka w 316 Kompanii  
Transportowej Pomocniczej Wojskowej  
Służby Kobiet, we wspomnieniach:**

Dowiadujemy się, że przyjmują do wojska – ja nie miałam żadnych szans, gdyż nie miałam jeszcze 16 lat, ale Mamusia namawia mnie, żebym stanęła w kolejce [...]. Jaka była moja radość, gdy zostałam przyjęta! [...] Szczęście moje jednak trwa krótko, wzywa mnie komendantka naszej grupy i mówi, że NKWD sprawdzało roczniki przyjęcia do wojska – musisz mieć 18 lat, by pozostać w wojsku. Masz do wyboru, albo zmienisz datę urodzenia, albo musimy cię zwolnić. Kiedy usłyszała tak przychylną dla mnie propozycję – data urodzenia w takiej sytuacji nie była ważna. Władza dodaje mi dwa lata i jeden miesiąc.

Margiełan (dziś Taszłak; Uzbekistan),  
6 kwietnia 1942

W grudniu 1942 rozkaz dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie, gen. Andersa, zatwierdził zorganizowanie w ramach tej Armii Pomocniczek Wojskowej Służby Kobiet. Zgodnie z tym rozkazem inspektorka główna, płk Bronisława Wyslouchowa, [...] zreorganizowała i uporządkowała sprawy związane z administracją i szkoleniem tej nowej służby.

Ochotniczki zgrupowano według służb z podziałem na: transport, kantyny polowe, sanitariat, oświata, łączność i służba administracyjno-gospodarcza. Rozkaz określił, że ochotniczki są żołnierzami służby czynnej, a ich zadaniem będzie zastąpienie w pewnych służbach mężczyzn, który zostaną wykorzystani z karabinem w ręku w działaniach wojennych. [...] Ja zostałam przydzielona do 103 Kompanii. [...] Komendantka naszej kompanii, Stefania Gołaszewska, jest wymagająca. Chce, żebyśmy równo chodziły w marszu i zachowywały się, jak przystało na dobrego żołnierza.

Quizil-Ribat (Irak), grudzień 1942

Więc szkolimy się na kierowców. Stoi przed nami maszyna – cud techniki. Kiedy pierwszy raz zajrzysz do jej wnętrza, wydaje się czymś tak pogmatwanym, powikłanym, tajemniczym, że aż dziw bierze, jak w tym wszystkim można się wyznać. A kiedy ci jeszcze instruktor nakładzie do głowy najrozmaitszych



1.05–10.06.1943, Falkirk, Szkocja, Wielka Brytania. Pierwszy kurs rekrucji dla polskich ochotniczek, które zgłosiły się do Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie/Ośrodek KARTA

nazw: kardan – starter – akumulator – akcelerator – karburator – cylinder – tłok – sprzęgło – delko – prądnica – korba – głowica – i tysiąc innych dziwołągów – to ci zupełnie w głowie pokręci. A jednak nie święci garnki lepią.

Wszystko jest tak przemyślanie wzajemnie połączone, pozazębiane, poszczepiane, że wystarczy kilka lekkich, spokojnych ruchów rąk i nóg, aby maszyna ruszyła. Siadasz pierwszy raz przy kierownicy, włączasz stacyjkę, naciskasz starter i oto motor zaczyna lekko drgać – żyje.

Gedera (Palestyna), styczeń–marzec 1943  
[Zapomniane dziewczęta, Lublin 1995]

**Stanisława Kubiak, zastępczyni dowódcy  
1 kompanii fizylierek 1 Samodzielnego Batalionu  
Kobiecego im. Emilii Plater, we wspomnieniach:**

Czasu na pisanie coraz mniej. Wyznaczono mnie na zastępcę dowódcy kompanii do spraw oświatowych. Jestem przerażona. Masa obowiązków: dyżury, cały czas z kompanią, mam prowadzić wykłady i robić komunikaty, a ponadto prowadzić gimnastykę poranną, być na każdych ćwiczeniach, pilnować porządku.

Żądają, bym zjednała sobie dziewczęta. Ale jak, u licha? Złuszczą mnie ich fanaberie, histerie, no i tępota. Jak mam podać w sprawozdaniu, o co pytają na zajęciach oświatowych, kiedy o nic nie pytają. Śpią albo tępo na mnie patrzą. Wywoływanie po nazwisku nic nie pomaga. Tego, o czym mówią w namiotach między sobą, nie mogę przecież przekazywać – to



28.03.1943, Falkirk, Wielka Brytania. Promocja II kursu Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet. Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie/ Ośrodek KARTA

byłoby donosicielstwo. Mówią źle o swoim pobycie w kołchozach, o Rosji. Ale nigdy przy mnie. Kiedy zbliżam się, milkną.

Mało tego. Każą mi chodzić z dziewczętami na niedzielne nabożeństwa. Nudzi mnie to. Dziesięć lat temu zerwałam stosunki z Panem Bogiem i nie mam zamiaru czcić go tutaj. Jeśli nie wróciłam do modłów w Kazachstanie, to już chyba nie wrócę nigdy. Szkoda czasu.

Zaczęły się ostre przygotowania do przysięgi. Mac [Aleksander Mac – zastępca dowódcy ds. linowych 1. Samodzielnego Batalionu Kobięcego im. Emilii Plater] zupełnie oszalał – żąda, by kompanie chodziły jak baletnice. Buciska latają po nogach, dziewczuchy poca się jak drwale. [...]

Gdybym miała ściśle określić swoją funkcję, to chyba najstuszniejsze byłoby: „ruchoma gderliwa ciotka”. Istotnie, biorę udział w ćwiczeniach i pogderuję na leniwe dziewczuchy, z których pot cieknie ciurkiem. Wracamy do obozu i znów pogderuję, popędzam, to do porządków, to znów na zbiórkę. A najkomiczniejsze, kiedy w zastępstwie mam prowadzić musztrę. Podaję komendy i nie jestem zbyt pewna, czy dobrze. [...]

Spieszmy się ciągle i wszędzie, od świtu do nocy. I śpimy też tak, jakby prycza była komuś potrzebna. Najgorsze kłopoty są jednak z majtkami. Mac wydał osobistą wojnę naszym suszącym się za namiotami desusom. Rozumiem, że te sine, niedoprane try-

koty nie ozdabiają obozu, ale nie rozumiem awantur, które urząda. Wojna wojną, ale jeśli zdecydowano się na damskie wojsko, to i na majtki też. W efekcie poszłam dziś na ćwiczenia z dwoma parami mokrych wypranych trykotów w torbie. Notatnik niosłam w rękę. Suszyłam na krzakach, gdy dziewczęta ćwiczyły. Ale mnie to jeszcze dobrze; mam trzy pary, a one jedną na tydzień – do czasu kąpieli w łaźni. Przepierają rano w rzece, wykręcają i wkładają wilgotne pod spodnie. Nasze starania – a pyskowałyśmy na odprawie, ile się dało, by zrobić baonową suszarnię – na razie spełzły na niczym.

Sielce nad Oką, około 7 lipca 1943  
[Berlingowcy. Żołnierze tragiczni,  
red. D. Czapigo, Warszawa 2015]

### Cywia Lubetkin, członkini dowództwa Żydowskiej Organizacji Bojowej, we wspomnieniach:

O świcie staliśmy wszyscy na naszych pozycjach. Z dała było widać niemieckich żołnierzy zbliżających się do getta, jakby szli na front. Na głównych ulicach w miejscach, przez które musieli przechodzić Niemcy, podłożyliśmy dobrze zamaskowane miny, podłączone do sieci elektrycznej. Najsilniejsze oddziały bojowe rozstawiliśmy na rogach, by „przywitać” nadchodzących. Przepuściliśmy Niemców obok naszych pozycji, pozwoliliśmy im zbliżyć się do zaminowa-



Kwiecień 1945, Oberlangen, Dolna Saksonia, Niemcy. Uczestniczki Powstania Warszawskiego w obozie jenieckim wyzwolonym przez żołnierzy 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie/ Ośrodek KARTA



1944–1945, prawdopodobnie Wielka Brytania. Żołnierki Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet. Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie/Ośrodek KARTA

nych miejsc. Gdy podeszli, włączyliśmy prąd. Ujrze-  
liśmy na własne oczy oderwane ręce i nogi. Ten  
widok był pierwszą nagrodą, jaka nas spotkała. Moja  
grupa liczyła około trzydziestu osób uzbrojonych  
w kilka karabinów, pistolety, granaty, bomby własnej  
produkcji i wiele butelek z koktajlem Mołotowa. [...] Setki  
radosnych, wypucowanych Niemców masze-  
rowało w zwartych szeregach, śpiewając bojowe pie-  
śni. Wszak idą na „ostatni bój” z Żydami. Zaledwie  
przemaszerowali przez nasze pozycje, zaskoczył ich  
grad bomb i granatów spadających na głowy. Wpadli  
w popłoch.

Wyszliśmy z naszych kryjówek i strzelaliśmy do  
wroga z pistoletów i karabinów. Strumienie nie-  
mieckiej krwi zalały ulice getta. Kiedy ujrze-  
liśmy Niemców, jeszcze przed kilkoma minutami masze-  
rujących butnie i dumnie, by zgładzić Żydów, teraz  
zaś zakrwawionych i leżących pokotem na bruku,  
nie mogliśmy się powstrzymać, by nie wybuchnąć  
radosnymi okrzykami. Dziewczyna imieniem Tama-  
ra krzyknęła nieswoim głosem: „Tym razem zapłać  
nam za to!”

Warszawa, 19 kwietnia 1943  
[Zagłada i powstanie, Warszawa 1999]

#### **Zofia Koprowska, ps. „Czesia”, z kobiecego patrolu minerskiego, we wspomnieniach:**

Zaczęło się nagle [...]. Wpadają dziewczęta zdysza-  
ne i rozgorączkowane – kolejka do Warszawy nie  
odeszła, w Piasecznie strzelanina. Zmierzcha się.  
Pospiesznie robimy sieć ogniową. Wraca „Orion”  
[Kazimierz Michniewicz] spokojny, choć widocznie  
wzruszony: zaczęło się. Powstanie!

[...] Noc z 3 na 4 sierpnia. Mina gotowa: sześć  
ładunków kołowych połączonych lontem wybucho-  
wym. Zapalnik samoczynny, naciskowy. Idziemy  
ciemnym lasem obok wilgotnych łąk pod osłoną  
sześciu chłopców uzbrojonych w steny. Jakże dudni  
mostek pod naszymi nogami! Zbliżamy się. Idzie-  
my na przełaj przez zagajnik, wilgotne gałęzie biją  
nas po twarzy. Jesteśmy na torze. Głuchy szurgot  
wyciąganych kamieni, ładunki zostają ulotkowane  
pod podkładami szyn. „Pociąg idzie!” Nie, to fał-  
szywy alarm. Połączyć lontem, zamaskować, odbez-  
pieczyć. Gotowe! Wracamy w zupełnej ciemności,  
nadsłuchując, czy nie nadchodzi pociąg. Pociąg  
nadszedł, ale dużo później, nikt z nas nie był świad-  
kiem katastrofy, tylko zmienione szyny na znacznej  
przestrzeni dawały świadectwo, że robota zrobiona  
dobrze.

Następnego dnia nawiązujemy kontakt z Piasecznem; organizujemy dostawę żywności. „Basia” [Jadwiga Łukasiak] z braku sił fachowych „odwała” sanitariuszkę, każdorazowo uświadamiając pacjenta, że właściwie nie jest sanitariuszką, tylko minerką.

Piaseczno, Chojnów, 1–4 sierpnia 1944

Mówi się o możliwości przejścia kanałami do Śródmieścia. [...] Ktoś mówi, że kanały „zapchały się”, że Niemcy zalali je wodą, że zatruli karbidem. Zdenerwowanie rośnie. Naraz zakotłowało się – w niepewnym świetle ranka spostrzeżono białą flagę na domu, w którym stoimy. Ściągnięto ją czym prędzej, ale ciężko zrobiło się na sercu. [...] Myśli się rozbiegają – mówi się o poddaniu. Lena szloch. Podchorąży „Cichy” zwoluje swoich – będą się bronili do końca. Niektórzy piją. Ludność cywilna złorzeczy AK. Myśl pracuje ciężko, jak w otumanieniu. Co począć? Iść z chłopcami i zginąć, czy... czy zdjąć kombinezony, porzucić sprzęt, porzucić broń... Zginąć? Nie, po stokroć nie! Czy nie dosyć już ofiar daremnych? Ciężko – zwlekamy jeszcze, może coś się stanie... Niemcy są już w sąsiednim bloku... Trudno. Zrzucamy kombinezony, czapki, broń chowamy do piwnicy, ostrzyżone głowy zawiązujemy szalikami, tobołki zarzucamy na plecy – plecaki też zostają – wychodzimy z domu [...] Z bram domów wysypuje się znękana wynędzniała ludność z tobołkami,

z dziećmi. Na ulicy stoi czołg. Och, teraz mieć w rękę gamona [granat]!... Cóż na myśl niedorzeczna. Idziemy jak błędne, uśmiechamy się głupio. Skończyło się. Patrzymy na Niemców, jakbyśmy widziały ich po raz pierwszy w życiu. A jednak, jednak przez dwa miesiące byliśmy wolne, wolne!

Warszawa, 26–27 sierpnia 1944

[*Oddział kobiety warszawskiego Kedywu*, red. H. Rybicka, Warszawa 2002]

**Halina Nowak, ps. „Ama”, łączniczka Armii Krajowej, więźniarka obozu jenieckiego, we wspomnieniach:**

Rosły nasze nadzieje, że chwila wyzwolenia jest niedaleka, gdyż słyhać było coraz wyraźniej i bliżej dudnienie dział. 12 kwietnia po południu siedziałam przed barakiem, snując marzenia jak to będzie, gdy znajdę się już po drugiej stronie drutów... Nagle zobaczyłam zbliżającą się od strony lasu kolumnę pojazdów wojskowych – nie niemieckich! Niemal w tej samej chwili przed drutami zatrzymał się samochód pancerny, z którego wyskoczył uzbrojony żołnierz w mundurze khaki, wystrzelił serię z pistoletu maszynowego w stronę wieży strażniczej i zawołał głośno: „Czołem koleżanki!”

Oberlangen, 12 kwietnia 1945 [*Z pamiętników i wspomnień harcerek Warszawy 1939–1945*, Warszawa 1983]



SENAT RP

 **Karta**

Cykl Historie polskich kobiet jest dostępny na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowa. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Fundacji Ośrodka KARTA.

Utwór powstał w ramach zlecenia przez Kancelarię Senatu zadań w zakresie opieki nad Polonią i Polakami za granicą w 2019 roku. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji i stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o zleceniu zadania publicznego przez Kancelarię Senatu oraz przyznaniu dotacji na jego wykonanie w 2019 roku.

# POLKI BARDZIEJ AMBITNE OD POLAKÓW?

**K**obiety stanowią zdecydowaną większość osób kończących studia wyższe. Częściej podejmują również studia za granicą. Czy Polki są bardziej ambitne od Polaków? Z jakimi wyzwaniem muszą się mierzyć?

Ponad sto lat temu Maria Skłodowska Curie o mało nie dostałaby Nobla tylko dlatego, że była kobietą. O pominięciu przy zgłoszeniu do nagrody żonę upomniał się Piotr Curie. Choć czasy, gdy nagrody naukowe przyznawane były tylko mężczyznom, minęły, kobiety nadal muszą się mierzyć z uwarunkowaniami kulturowymi. W tym roku NASA musiała przełożyć o kilka miesięcy lot na Księżyc dwóch astronautek, bo zabrakło dla nich odpowiednich kombinezonów.

## Od najmłodszych lat

Dzisiaj kobiety wybijają się na wielu płaszczyznach już na poziomie szkolnym. Badania PISA sprawdzają różne umiejętności 15-latków z krajów OECD. Jednym z badanych obszarów jest umiejętność zespołowego rozwiązywania problemów (*collaborative problem solving*). Okazuje się, że w każdym (*sic!*) z krajów, w którym przeprowadzono badanie dziewczyny wypadły lepiej od chłopców. Średnio różnica wynosiła kilkadziesiąt punktów.

„Dziewczynki są lepsze z przedmiotów humanistycznych, a chłopcy są ścisłowcami”. Ta wyświechtana formułka nie do końca odzwierciedla rzeczywistość. Według badań opublikowanych przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne dziewczynki uzyskują lepsze oceny końcowe z matematyki, nawet jeśli czasami w testach wypadają słabiej. Autorzy badania *Gender Differences in Scholastic Achievement: A Meta-Analysis* zauważają, że finalne oceny semestralne z przedmiotów pokazują uczenie w szerszym kontekście społecznym. Uzyskanie lepszych stopni wymaga wytrwałości w długim okresie.

## Studia pierwszego stopnia i jeszcze dalej

Zdecydowanie więcej kobiet niż mężczyzn decyduje się na studia. W roku akademickim 2017/2018 w Polsce w publicznych szkołach wyższych kobiety stanowiły 58% studiujących.

Kobiety stawiają na rozwój po ukończeniu magisterki. Wśród osób podejmujących studia podyplomowe również stanowią większość. Na tym etapie ich udział rośnie – w roku akademickim 2017/2018 stanowiły ponad 72% słuchaczy. Jest ich więcej również wśród osób piszących doktorat – ponad 55%. Ich przewaga jest dostrzegalna nie tylko w naukach humanistycznych. Stanowią większość również w naukach społecznych, ekonomicznych, prawnych, rolniczych i medycznych. Być może ta sytuacja przyczyni się do zmiany w strukturze płci nauczycieli akademickich. Choć już teraz kobiety stanowią większość na stanowisku asystenta, nauczyciele akademicy to większości wciąż mężczyźni.

## Studia za granicą

Polki nie są fenomenem. W przypadku cudzoziemców studiujących w Polsce, również kobiety stanowią większość. W listopadzie 2017 roku było ich ponad 37 tysięcy. Sprawy mają się podobnie w przypadku obywateli i obywateli Polski wyjeżdżających na studia za granicę:

- 67% osób, którym pomogliśmy wyjechać na studia za granicę to kobiety. Dziewczyny stanowią 70% osób aplikujących z nami na zagraniczne uczelnie – mówi Emilia Łosiewicz z Elab Education Laboratory.



Większa aktywność kobiet nie dotyczy wyłącznie edukacji na uczelniach wyższych. Częściej korzystają one np. z usług internetowych szkół językowych:

- 65% osób uczących się we Fluentbe to kobiety. Zależy im głównie na zdobyciu umiejętności swobodnego komunikowania się. Potrzebują go również w pracy – mówi Daria Domagała – dyrektor metodyczna we Fluentbe.com.
- Kobiety wykazują się większą aktywnością również na innych polach. Trzeba pamiętać, że dodatkowa edukacja i rozwój wiążą się również z poziomem czytelnictwa. Z corocznego raportu Biblioteki Narodowej wynika, że to kobiety częściej czytają książki, a także prasę – zarówno w wersji papierowej, jak i elektronicznej – dodaje Domagała.

### **Wbrew stereotypom**

Wiele kobiet już dawno przeciwstawiło się stereotypom i oczekiwaniom części społeczeństwa np. względem ich roli w rodzinie. Blisko połowa zatrudnionych w Polsce to kobiety. Dla porównania – w 1950 stanowiły one niespełna jedną trzecią osób pracujących.

W przestrzeni publicznej wciąż obecne jest przeświadczenie, że kobiety lepiej sprawdzą się na stano-

wiskach kojarzonych z pomocniczością, okazywaniem empatii, komunikacją. Tymczasem wiadomo, że radzą sobie równie dobrze w rolach stereotypowo kojarzonych z mężczyznami: wymagającymi umiejętności szybkiego podejmowania decyzji czy zdolności przywódczych. 47% osób w zawodach menedżerskich w Polsce to kobiety, co plasuje nasz kraj na piątym miejscu w Unii Europejskiej przy średniej na poziomie 36%. Jest ich jednak zdecydowanie mniej wśród członków zarządów w największych spółkach publicznych czy na stanowiskach kierowniczych wyższego szczebla. Na szczęście szklany sufit jest regularnie kruszony. Ich udział na tych stanowiskach systematycznie rośnie.

- Przemiany kulturowe, zmiany zachodzące na rynku pracy sprawiają, że zmienia się również sytuacja kobiet, które często bardziej ambitnie od mężczyzn podchodzą do powierzonych im zadań. Nastawione na rozwiązywanie problemów, szukają sposobów by skutecznie łączyć różne obowiązki i zwiększać swoje kompetencje – chętnie biorą udział w szkoleniach, szukają mentorów, korzystają z kursów online – komentuje Daria Domagała z Fluentbe.com.



# 17 SIERPNIA

**K**luczowy dzień Sierpnia '80. W Stoczni Gdańskiej zamknięta zostaje lista 21 postulatów – w ciągu dwóch tygodni przemieniają kraj, jak taran przebijający bramy. Niezwykle zjawisko: są od razu uznawane, niemal odruchowo. Stają się powszechnym dobrem.

Coś zasadniczego łączy 17 sierpnia w 1920 i 1980 roku. Sto lat temu dopiero dzień po skutecznym kontrataku 16 sierpnia (a nie w przeddzień, co przyjęto za Datę Zwycięstwa – czysto propagandową) można było poczuć, że od polskiego wału obronnego, wspartego ogólnospołeczną mobilizacją, odbijają się bolszewickie zastępy. Sześć dekad później powstaje w Peerelu dokument, który – choć wyrotowy – uznany zostaje najszerzej; także dzięki niemu z komunizmu zdaje się wyłamywać społeczeństwo. Solidarność polską, trwającą wbrew wszystkiemu, definiują najmocniej te dwa wydarzenia XX wieku.

40. rocznica Solidarności, lekceważona z powodu najgłębszej od lat polaryzacji Polski

i niszczenia historycznego znaku w procesie rozbijania wspólnoty, może być jednak okazją do odwrócenia znaczeń. Wystarczy zdjąć z Solidarności współczesny cudzysłów – wrócić do jej pierwotnego sensu, który jest przeciwieństwem tego, co dziś uważa się za oblicze „S”.

Ośrodek KARTA powstał w styczniu 1982, niejako w obronie Solidarności. Teraz – po anon-sach NSZZ „S”, przedstawiającego siebie jako jedynego dysponenta dawnego znaku i związanych z nim wartości – proponujemy zbiorowy namysł nad 21 tezami. Niech będą punktem wyjścia do kolejnej dekady, po trzech traconych, znów w drodze do wspólnotowej, lepszej Polski.

**Zbigniew Gluza**



1. Solidarność narodziła się w Polsce 40 lat temu, przekształcając świadomość zbiorową. W roku 1980/81 objęła kraj – jako wyzwolenieczy ruch społeczny.
2. Zjawisko Solidarności podnosiło Polskę po czterech dekadach zapaści państwa; trwało dekadę – od 17 sierpnia 1980 do 24 czerwca 1990 (rozpad formacji) – inicjując III RP.
3. Nazwano ruch Solidarnością, pod konieczną, lecz zbyt wąską postacią związku zawodowego. Od 17 września 1980 ta „związkowa” nazwa znaczyła społeczeństwo.
4. Solidarność powstała ze splotu aktywności opozycji, działającej jawnie przez kilka lat – i społeczeństwa, obudzonego przez Jana Pawła II.
5. Twarzą Solidarności w latach 1980-90 stał się Lech Wałęsa, choć wcześniej opozycji nie przewodził, a w 1990 roku rozbił dojrzalą formację, idąc drogą własnych ambicji.
6. Solidarność, jako samoorganizacja społeczeństwa, w latach 80. podważyła – bez przemocy – blok sowiecki; system nie zdołał już zareagować siłą.
7. Liderzy związku zawodowego, utożsamianego z Solidarnością, w tym przewodniczący, stali się uosobieniem oddolnego ruchu, jednak nie przywódcami społeczeństwa.
8. Gdy 27 marca 1981, w imię Solidarności, całkowicie zamarł kraj, a szefom związku dano prawo decydowania za społeczeństwo – nikt nie podjął roli wodza.
9. Związek zawodowy nie przetrwał stanu wojennego – rozpadł się od uderzenia 13 grudnia 1981; trwała Solidarność, dzięki mobilizacji poza strukturą.
10. Solidarność warunkowała zwycięstwo społeczeństwa nad władzą – 4 czerwca 1989; w jej imieniu wystąpiła wiarygodna grupa liderek, stojąca przy Lechu Wałęsie.
11. Po rekonstrukcji związku zawodowego, odchodzącego od Solidarności, przewodniczący nie zrezygnował z historycznej już nazwy, pozorując kontynuację.
12. Wraz z upadkiem Komitetów Obywatelskich, zwycięskich w wyborach roku 1989/90, Solidarność występuje już tylko w cudzysłowie, zmieniając znaczenie znaku.
13. Dekada Solidarności okazała się – mimo komunistycznej opresji – okresem delegitymizacji Peerelu, zapowiedzią wolności w Polsce suwerennej.
14. Trzy kolejne dekady – przy sukcesie gospodarki i ładu demokratycznego Polski – są okresem stopniowego usuwania Solidarności ze społeczeństwa.
15. Zaprowadzona w kraju polaryzacja polityczna, a za nią społeczna, jest przeciwieństwem Solidarności. Powrót do jej wartości powinien wesprzeć odzyskanie wspólnoty.
16. Polsce potrzeba racji Solidarności: działań bez przemocy. Postawy nienawiści, pogarda dla prawa, korupcja i mord polityczny – to ich współczesna alternatywa.
17. Solidarność sprzed 40 lat stała się najmocniejszym pozytywnym znakiem polskiej wspólnoty – otwartej na innych, gotowej w sporze do dialogu i porozumienia.
18. Każdy obywatel może wybrać kształt Polski: spolaryzowanie czy Solidarność. Jeśli uzna ją za postulat dla siebie, wesprze integrującą się wspólnotę.
19. Dniem symbolicznym uwolnienia się Polski jest 31 sierpnia (a nie 1 czy 15 sierpnia). W 1980 roku Solidarność pokonała totalitarny system – jako apogeum przełomu.
20. Hasło na miesiąc rocznicy Solidarności 2020, od 17 sierpnia (dzień ogłoszenia 21 postulatów) do 17 września (dzień przyjęcia nazwy): odzyskanie zawłaszczonego znaku.
21. Solidarność w cudzysłowie okazała się zaprzeczeniem jej sensu – karykaturą. Powrót tej bez cudzysłowu to nadzieja Polski, przywrócenie fundamentalnej wartości.

Warszawa, 4 czerwca 2020

KARTA

# O STOSUNKACH POLSKO-ESTOŃSKICH

rozmowa z prof. Raimo Pullatem, wielkim przyjacielem Polski  
(część 2)

## **W Polsce, w Lublinie, dostał Pan doktorat honorowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego...**

Otrzymałem go w roku 2005 na wniosek Rady Wydziału Nauk Humanistycznych w uznaniu działalności naukowej i badawczej, obejmującej szeroko pojętą problematykę stosunków międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem relacji polsko-estońskich. Tego samego roku zostałem też przyjęty w Watykanie przez papieża Jana Pawła II. Wręczyłem mu, po półgodzinnej rozmowie, swoją książkę *Od Wersalu do Westerplatte*. Od papieża dostałem natomiast różaniec.

## **Pracował Pan w wielu archiwach Europy...**

Byłem m.in. w archiwach: Estonii, Polski, Finlandii, Londynie i krótko w Nowym Yorku. Na tej podstawie napisałem książkę pt. *Od Wersalu do Westerplatte. Stosunki estońsko-polskie w okresie międzywojennym*. W mojej książce jest wszystko – i polityka zagraniczna, i handel zagraniczny, i stosunki kulturalne czy wojskowe. Dzisiejsze stosunki polsko-estońskie są równie dobre jak przed II wojną światową.

I wreszcie ostatnia moja książka, która ukazała się po polsku, w roku 2018, to: *Świat rzeczy mieszkańca Tallinna w dobie Oświecenia*. Napisałem ją korzystając ze źródeł pochodzących z Archiwum Miejskiego



Prof. Raimo Pullat

w Tallinnie, zajmująco opisujących kulturę materialną, czyli świat rzeczy otaczających mieszkańców Tallina w dobie Oświecenia. W XVIII stuleciu, po wojnie północnej i epidemii dżumy, liczba mieszkańców Tallina ponownie zaczęła rosnać, poszerzały się granice miasta, budowano nowe fortyfikacje i rozwijała się sieć ulic. Poprawiała się kondycja zdrowotna ludności. Jednocześnie utrzymywał się agrarny charakter miasta. Duże zmiany zachodziły w życiu codziennym ówczesnych tallińczyków, na rynek trafiały nowe rodzaje mebli i niespotykane dotychczas przedmioty użytkowe, sięgano po nieznanne produkty żywnościowe, zmieniały się preferencje czytelników i moda w zakresie ubiorów. Wzrósł popyt na towary luksusowe, powszechnie sięgano po używki, takie jak kawa, herbata i czekolada czy alkohol i tytoń. Oprócz opisów codzienności ówczesnych mieszkańców Tallina czytelnik znajdzie także liczne odniesienia Autora do życia nie tylko w sąsiednich miastach, ale i w metropoliach w Europie Wschodniej, Północnej i Środkowej, w tym w Polsce.

## Odkrył Pan także wiele nieznanych nikomu faktów z najnowszej historii...

Jednym z nich była postać pana Norberta Żaby (1907–1994) polskiego dyplomaty i działacza emigracyjnego, współpracownika paryskiej „Kultury”, który był synem Polaka i Estonki pochodzenia szwedzkiego, absolwenta Wyższej Szkoły Handlowej w Wiedniu. Norbert Żaba przyjechał na stałe do Polski w roku 1929. Pracował m.in. jako korespondent estońskiej gazety „Vaba Maa”. Był też współpracownikiem „Myśli Mocarstwowej”. Od roku 1935 pracował w służbie dyplomatycznej. Pełnił funkcję attaché prasowego Poselstwa RP w Helsinkach (1935–1938), był korespondentem PAT w Berlinie (1938–1939), attaché prasowym Poselstwa RP w Kopenhadze (1939–1940, ponownie attaché prasowym Poselstwa RP w Helsinkach (1940–1941), attaché prasowym Poselstwa RP w Sztokholmie (1941–1945). Po II wojnie światowej zamieszkał na stałe w Szwecji. Pełnił tam m.in. funkcję prezesa Zjednoczenia Polskiego. Był przedstawicielem Instytutu Literackiego na Skandynawię, założycielem Towarzystwa Przyjaciół „Kultury” w Sztokholmie. Angażował się w propagowanie polskiej kultury w Skandynawii. W 1980 otrzymał Nagrodę „Kultury” z okazji 400 numeru pisma – tzw. Nagrodę Przyjaźni i Współpracy. Pochowany na Cmentarzu Katolickim w Sztokholmie. W roku 1995 Zygmunt Barczyk opublikował w Uppsali jego wspomnienia *Życie na złączach. Ze wspomnień Norberta Żaby*.

Kolejna ciekawa sprawa związana jest z Armią Czerwoną, która walczyła z Finami w czasie wojny radziecko-fińskiej w latach 1939–1940. W wojnie trwającej 104 dni uczestniczyło wielu Polaków ze wschodniej Polski. Szukałem informacji na ich temat w kilku archiwach. Nic nie znalazłem, poza faktem, że Polacy służyli w Armii Czerwonej. O nich to rozmawiałem z Norbertem Żabą w Sztokholmie na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Opowiadał mi o ich losach po dostaniu się do fińskiej niewoli, skąd wyjechali do Danii.

I wreszcie nieznaną sprawą w Polsce – obóz sportowy wojskowy w Ruukki, Finlandia. Jest położony ok. 40 km na południowy zachód od Oulu, 500 km na północny zachód od Helsinek. Tam w okresie II wojny światowej znajdował się obóz, do którego trafiło kilkudziesięciu polskich żołnierzy zmuszonych do ewakuacji z krajów bałtyckich, po zajęciu tych państw przez Związek Radziecki w 1940 r. Polacy przebywali w Ruukki przez rok i w tym czasie cieszyli się dość dużą swobodą oraz życzliwym nastawieniem władz fińskich i miejscowej ludności. W organizacji i utrzymaniu obozu pomagało Poselstwo RP w Helsinkach na czele z posłem Henrykiem Sokolnickim. Po zmianie sytuacji politycznej w 1941 r. Polacy zmuszeni zostali do opuszczenia Finlandii. Większość z nich udała się do neutralnej Szwecji. Losy polskich żołnierzy w Finlandii opisane w książce autorstwa jednego z nich, Andrzeja Bogusławskiego, zatytułowanej *Pod Gwiazdą Polarną*. Pobyt polskich oficerów w miasteczku upamiętnia tablica przygotowana przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Ambasadę RP, uroczystie odsłonięta w dniu 30 września 2015 r. przez Szefa Urzędu Jana Stanisława Ciechanowskiego. Napis na tablicy głosi: *Pamięci ponad czterdziestu oficerów Wojska Polskiego, którzy przybyli do Ruukki w 1940 r. Po ewakuacji z krajów bałtyckich usiłowali dotrzeć na front walk pod Narwikiem w Norwegii. Wobec fiaska swych zamiarów zostali tu przez blisko rok, gościnnie i życzliwie przyjęci przez mieszkańców. W 75. rocznicę z podziękowaniem za okazaną Polakom gościnę i dla upamiętnienia tego chwalebego wydarzenia z historii stosunków polsko-fińskich – Rzeczpospolita Polska, Ruukki, wrzesień 2015 r.*

Dowiedziałem się także od naszego estońskiego dyplomaty, którego spotkałem w Londynie, że w organizowanej w ZSRR polskiej armii gen. Władysława Andersa, wśród tamtejszych lotników, było pięciu Estończyków. Oni jeszcze przed wybuchem wojny nauczyli się latać w Polsce. Dwóch z nich zostało pochowanych na

cmentarzach wojskowych pod Londynem razem z polskimi lotnikami.

Z mojej wreszcie inicjatywy, z udziałem jego syna i córki, odsłonięto w Rakvere tablicę pamiątkową poświęconą Stanisławowi Herbstowi (1907–1973) – polskiemu historykowi, badaczowi dziejów nowożytnych, varsavianieście, profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego i Wojskowej Akademii Politycznej oraz prezesowi Polskiego Towarzystwa Historycznego.



Dom państwa Pullatów na wyspie Hiiumaa

### **Pańską książką życia jest pozycja, która ukazała się w roku 2018...**

... pt. *100 lat Estonii*. Pomogłem w przywiezieniu po latach archiwum Tallinna, kosztujące miliony euro, z Niemiec, wywiezione od nas w roku 1944. To były najbogatsze zbiory muzealne Europy Północnej. Ostatecznie nasze archiwum znalazło się w federalnym archiwum w Koblencji. Zwrócono nam wszystkie dokumenty dotyczące Estonii. Nie miałem żadnej pomocy ze strony estońskiej. Wszystko robiłem sam. Kilka miesięcy temu rozmawiałem z premierem Estonii. Na jego pytanie o jakąkolwiek pomoc rządowej strony estońskiej – państwa czy miasta Tallinna, musiałem odpowiedzieć negatywnie. Powiedziałem mu, że jest pierwszą osobą, która się tym zainteresowała. Za sprowadzenie naszych archiwaliów otrzymałem natomiast nagrodę honorowego obywatela Tallinna.

### **Ostatnim Pana sukcesem jest nagroda im. ppłk. Jana Kowalewskiego przyznawana przez dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku dr Karola Nawrockiego oraz Rektora Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. Jacka Namieśnika...**

Nagroda ma charakter cykliczny, międzynarodowy i interdyscyplinarny. Jest przyznawana w drodze konkursu czterem osobom, reprezentującym różne dziedziny wiedzy i zawody, które wykorzystując potęgę własnego umysłu oraz zdobytą wiedzę i umiejętności, działają dla dobra ogółu w myśl hasła „Rozum przed siłą”. Kandydatów zgłaszać mogą: uczelnie wyższe, instytuty naukowe, instytucje kultury oraz członkowie Kapituły Konkursowej. Moją osobę do nagrody zgłosiła Ambasada RP w Tallinie, za co jestem jej ogromnie wdzięczny.

### **Skąd u Pana taka dobra znajomość języka polskiego?**

Nie sądzę, że mój polski jest aż tak dobry. Mam na szczęście kochaną żonę, która nie jest językoznawcą, ale lekarzem. Ona była moją nauczycielką i moją znajomość języka polskiego zawdzięczam właśnie jej. Pół wieku temu sam zgłębiłem trochę waszą gramatykę. Wiesia jest działaczem w stowarzyszeniu przyjaźni polsko-estońskiej. Kiedy odwiedza nas gość z Polski, tu na wyspie, wtedy wywieszamy 2 flagi, polską i estońską. Mówi się nawet, że w naszym mieszkaniu na wyspie Hiiumaa znajduje się nieoficjalny polski Konsulat. Nieoficjalny, bo nikt z nas nie jest przecież dyplomatą. Urodziłem się w roku 1935. Moja matka pochodzi z wyspy Hiiumaa, drugiej pod względem wielkości wysp estońskich położonych na morzu Bałtyckim. Powierzchnia 989 km<sup>2</sup>; ludność 11 tysięcy, 96% to Estończycy. Administracyjnie wyspa dzieli się na miasto Kärđla, 2 gminy ze stolicą w miastach Kõrgessaare i Käina oraz dwie gminy wiejskie Emmaste i Puhalepa. Na Hiiumie znajduje się około 180 osad. Rozciągłość równoleżnikowa wyspy wynosi 60 kilometrów, południkowa: 40. Długość linii brzegowej to 325 kilometrów. Lasy pokrywają 66% wyspy, obszary rolne około 11%, bagna i mokradła 3%. Najwyższy punkt (*Tornimägi*) wyspy znajduje się na półwyspie Kõpu i mierzy 68,5 m n.p.m.

Moi rodzice spotkali się w Tallinnie. Ojciec był marynarzem. 9 marca 1944 roku, w czasie silnych bombardowań naszej stolicy rodzice stracili wszystko, co mieli. Żyliśmy więc bardzo skromnie. Na wyspie mieszkała moja babcia. Na Hiiumaa mamy dużo rodziny i kuzynów. Za swoją pracowitość bardzo wysoko cenione są tutejsze wyspiarskie kobiety. Każdy Estończyk chce mieć żonę z wysp. Ludzie zajmują się tu tradycyjnie hodowlą owiec i rybołówstwem. Od lat tutejsi mieszkańcy walczą z plagą wilków. Państwo im w tym pomaga. Nie ma natomiast zbyt wielu ofert pracy. Bezrobocie jest tu większe niż np. w stolicy. Tu natomiast ludzie się nie spieszą, na wszystko mają czas. Ocalało natomiast kilka przetwórci wełny, których było tu wcześniej zdecydowanie więcej. Do jednej z tutejszych fabryk wełny, które nadal tu funkcjonują, sprowadzono całą aparaturę do tkania z Białegostoku.

Tu, na wyspie, ludzie się nie spieszą. Dlatego Hiiumaa nazywana jest śpiącą wyspą. Tu wszyscy mówią sobie per „ty”, nawet w szkole dzieci z nauczycielem. W sobotę wszyscy idą do sauny. I nikt wtedy nie zajmuje się innymi sprawami. To jest święte prawo tutejszych mieszkańców. Ludzie zmieniają wtedy bieliznę osobistą i pościel.

Nasza wyspiarska kuchnia to ryby w każdej postaci, także i grzyby: solone, marynowane, suszone. I wreszcie soki – z porzeczek czy czarnych jagód. Zbierając leśne owoce ludzie je następnie sprzedają i w ten sposób dorabiają finansowo. Moja żona Wiesława leczyła tu mieszkańców przez 10 lat. Tu miała gabinet okulistyczny. Potem przyszedł kapitalizm i pojawiła się spora konkurencja. Doinwestowanie gabinetu nowym sprzętem było dla nas zbyt drogie.

**Bardzo dziękuję za rozmowę i czas, który wspólnie spędziliśmy na Hiiumaa.**

**rozmawiał Leszek Wątróbski**

## MIGAWKI Z WYSPY HIIUMAA

---



Kopu. Najwyższa latarnia morska na Hiiumaa



Hiiumaa. Jedna z kilku latarni morskich na wyspie



Kościół ewangelicki w Kärdla, stolicy wyspy

Pomnik poległych w Kärdla

fot. Leszek Wątróbski





## ZALIPIE – NAJPIĘKNIJSZA POLSKA WIEŚ

**Z**alipie od wielu lat jest uważane za najpiękniejszą polską wieś. Wioska ta znana jest w Polsce a także na całym świecie, dzięki malowanym chatom, których wnętrza i elementy zewnętrznej struktury pokryte są kwiecistymi wzorami. Zalipie to unikalny przykład sztuki ludowej, która przetrwała próbę czasu i jest kontynuowana przez kolejne pokolenia mieszkańców. Wioska położona jest w województwie małopolskim, w gminie Olesno.

### Zwyczaj z końca dziewiętnastego stulecia

Wieś Zalipie od dawna słynie z malowanych chat i oczywiście ich wnętrz. Zwyczaj ozdabiania wiejskich izb kwiecistymi malunkami wywodzi się z końca dziewiętnastego stulecia. Wtedy to mieszkanki wsi zaczęły dekorować wnętrza swoich domów kolorowymi kwiatami wykonanymi z bibułki. Wśród wspomnianych dekoracji były też wycinanki, różga weselna i zdobiące powagę domu pająki zrobione z malowanej słomy. Malowidła ścienne zarówno te zewnętrzne jak i wewnętrzne, wykonywano różnymi sposobami.







### Konkurs „Malowana Chata”

Prace zalipiańskich artystek można podziwiać m.in. w zagrodzie pani Felicji Curyłowej, która jest filią powstałego w roku 1978 tarnowskiego Muzeum Etnograficznego. Z inicjatywy Muzeum Okręgowego w Tarnowie corocznie, w weekend po święcie Bożego Ciała, organizowany jest konkurs „Malowana Chata”. Jego zasadniczym celem jest utrzymanie i rozwój tradycji zdobienia domów i budynków gospodarczych, charakterystycznymi motywami kwiatowymi.

Ewa Michałowska-Walkiewicz





Laureaci konkursu

# GALA XI EDYCJI KONKURSU „BYĆ POLAKIEM”

(fot. Łukasz Błasikiewicz)



Marszałek Sejmu RP Elżbieta Witek

Sala balowa Zamku Królewskiego



Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego



# XI EDYCJA KONKURSU „BYĆ POLAKIEM”

**W** uroczystej gali, która odbyła się w warszawskim Zamku Królewskim 4 sierpnia 2020 r., oprócz laureatów konkursu, ich rodzin i nauczycieli, wzięli udział m.in. marszałek Sejmu Elżbieta Witek, pomysłodawczyni i organizatorka konkursu, poseł Joanna Fabisiak, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Jan Dziedzicak, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Dariusz P. Bonisławski i rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie Tomasz J. Kaźmierski.

Podczas uroczystości odczytano listy okolicznościowe od Marszałka Senatu i Ministra Spraw Zagranicznych. Przesłanie do organizatorów i uczestników Przewodniczącej Rady Polonii Świata Teresy Berzowskiej odczytał Przewodniczący Jury konkursu Roman Śmigielski.

*– Wasze sukcesy to także sukces Polski – powiedziała marszałek Sejmu Elżbieta Witek, zwracając się do uczestników konkursu dla dzieci i młodzieży polonijnej „Być Polakiem”. To już XI edycja wydarzenia, które służy umacnianiu tożsamości narodowej dzieci i młodzieży polskiej urodzonej poza granicami Polski i wychowującej się w miejscu zamieszkania.*

Marszałek Sejmu zwróciła w swoim wystąpieniu uwagę, że choć nasi rodacy są rozsiani po całym

świecie, uczestnicy konkursu znają swoje korzenie i są z Polską związani. – *Jesteście znakomitymi ambasadorami Polski na całym świecie. Chciałam wam bardzo serdecznie, z głębi serca podziękować za to, że podjęliście się tego trudu* – podkreśliła Elżbieta Witek. Marszałek Sejmu wyraziła też wdzięczność nauczycielom polonijnym, którzy wzięli udział w konkursie i gratulowała wszystkim jego uczestnikom. – *Pamiętajcie, że zawsze powinniście wysoko nieść głowę, ponieważ Polska jest krajem z przepiękną historią i wielką tradycją. Naprawdę powinniśmy być dumni z tego, że jesteśmy Polakami, a konkurs „Być Polakiem” o tym właśnie przypomina* – powiedziała.

Marszałek Sejmu, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie wręczyli laureatom polskie flagi, dyplomy i upominki. Przekazano także wyróżnienia i nagrody dla nauczycieli. Uroczystość zakończył występ Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

Konkurs „Być Polakiem” jest organizowany od 2010 r. Jego uczestnicy przygotowują prace plastyczne, literackie i filmowe. Tematem przewodnim XI edycji była solidarność. Uczestnicy w pracach konkursowych odpowiadali na pytanie, czy obecnie jest potrzeba, aby być solidarnym z Polską i Polakami żyjącymi w kraju oraz poza jego granicami.





# SOLIDARNOŚĆ

**W**spółczesnym społeczeństwie „solidarność” jest niezwykle ważnym słowem, a zarazem czynem, w życiu każdego Polaka. Samo słowo oznacza poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności. „Solidarność” to również ogólnopolski związek zawodowy powstały w 1980 roku dla obrony praw pracowniczych, oraz do 1989 roku jeden z głównych ośrodków opozycji przeciw rządowi Polski Ludowej i komunizmowi.

Zadając sobie pytanie: Czy solidarność obecnie jest potrzebna, jest totalnie absurdalne! Kiedy oczywista odpowiedź na to pytanie brzmi: Bez wątplenia! Choć słowo to kojarzymy często z komunizmem i latami 80-tych oraz Lechem Wałęsą, zapominamy o tym, że Polska Solidarność istnieje od samego początku powstania naszego pięknego kraju. Jak możemy nie być solidarnymi z Polską i Polakami, bez względu czy mieszkamy w Polsce czy za granicą, jeśli jest mnóstwo naszych przodków, którzy oddali życie, aby nasz kraj był wolny i Polacy mogli mieszkać w Polsce. Najlepszymi tego przykładem są nasi rówieśnicy, Danuta Siedzikówna, czyli „Inka”, Jan Bytnar, czyli „Rudy”, i nieliczni, którzy dzielnie walczyli o naszą Polskę i poświęcili swoje młode życie, po to, abyśmy to my mogli dzisiaj nazwać Polskę wolnym i niezależnym krajem. To właśnie tym, dzielnym młodym Polakom, jesteśmy winni kontynuację tradycji i walki o nasz kraj i ojczyznę.

Jako dziecko polonijne, mieszkające w Irlandii Północnej od 5 roku życia, bardzo dobrze wiem jak trudno jest utrzymać tradycje i język polski, kiedy jest taka duża presja wśród moich irlandzkich rówieśników żeby się nie wyróżniać. Od małej dziewczynki, pamiętam, jaki wielki wstyd i ból czułam wobec mojej ojczyzny i polskiego obywatelstwa. Mniej więcej dlatego, że bycie dzieckiem zagranicznym sprawiło mi wielką trudność w znalezieniu przyjaciół i akceptację wśród rówieśników. Każde dziecko, bez wyjątku, chce być akceptowane i lubiane przez swoich rówieśników. Jak dorastamy, te priorytety się oczywiście zmieniają i zaczynamy dostrzegać rzeczy ważniejsze i bardziej istotne w dorosłym życiu. Lecz dla dzieci w szkolnym wieku, akceptacja przez tych, z którymi spędzają większość swojego czasu, od

poniedziałku do piątku, jest niezwykle ważna. Można często zauważyć, że takim dzieciom polonijnym jest bardzo trudno pogodzić się ze swoją narodowością i często ukrywają fakt, że są Polakami. Takie dzieci zaczynają starać się być kimś innym, do tego stopnia, że później sami nie znają swojej własnej tożsamości i nie mogą zdecydować, kim naprawdę są. Wiem, bo ja byłam tym dzieckiem.

Wstyd przed tym, że urodziłam się w innym kraju, czasami, zdarzy mi się nawet dzisiaj, pomylić polski z angielskim i angielski z polskim. Miałam jak to niektórzy mi powtarzali „hybrydowy akcent”, który sprawił, że zamknęłam się w sobie, stałam się niezmiernie cicha w szkole i nie byłam w stanie rozpoznać własnej tożsamości. Od dziecka szkoła i wzbogacanie mojej wiedzy sprawiło mi ogromną przyjemność. W szkole z większością rzeczy umiałam sobie szybko i sprawnie poradzić, a nauka nie sprawiała mi większego trudu. Lecz niestety, moja miłość do szkoły i nauki była kwestionowana przez moje relacje z moimi rówieśnikami ze szkoły. Nie ważne jak bardzo lubiałam chodzić do szkoły, osoby, z którymi uczęszczałam do szkoły sprawiły, że nawet nie miałam ochoty wychodzić z łóżka rano. Miałam niezmiernie trudno odnaleźć się w jakimkolwiek towarzystwie i dzieci nie chciały mnie zaakceptować i przygarnąć do swojego towarzystwa. To sprawiło, że już, jako mała dziewczynka zamknęłam się w sobie, stałam się niezmiernie cicha i nie czułam potrzeby, aby nawiązywać jakichkolwiek relacji z kimkolwiek. Uważałam wtedy, że moje obywatelstwo i pochodzenie, jest powodem wszystkich moich problemów. Żaden człowiek, a szczególnie dziecko, nie chce się czuć gorsze i nieakceptowane przez tych, z którymi

spędza najwięcej swojego czasu po za domem. Każdego dziecka priorytetem jest zabawa, radość i przyjaźń, coś, czego niestety, przed pewien okres w moim życiu nie byłam w stanie doświadczyć. Najgorszy był fakt, że nie umiałam zrozumieć, co sprawia, że nie mogę być tak samo lubiana jak inne dzieci. Czułam się niesamowicie niezrozumiana przez świat i sama nie wiedziałam, dlaczego jestem uważana za osobę nie wartą przyjaźni.

Minęło już kilka lat od tej sytuacji. Nieważne jak bardzo trudny był dla mnie ten okres w moim życiu, nauczył mnie wielu rzeczy i obdarował mnie cechami, za które jestem dzisiaj bardzo wdzięczna. Doświadczenie odrzucenia i nienawiści do drugiego człowieka sprawiło, że moje nastawienie do drugiej osoby jest wypełnione sympatią i życzliwością, nieważne skąd pochodzą i kim są. Sytuacja, która mnie spotkała jest niewielkim przykładem tego, że solidarność jest niezmiernie ważna i potrzebna w naszym społeczeństwie.

Pytanie, które mi zostało zadane to: „Czy jest potrzeba, aby być solidarnym z Polską i Polakami...?”. Odpowiedz na to pytanie brzmi: Owszem, jest potrzeba. Lecz, moim zdaniem solidarność międzynarodowa jest bez wątpienia o wiele ważniejsza i potrzebna w naszym społeczeństwie; Polacy z Polakami, Irlandczycy z Irlandczykami, Polacy z Irlandczykami, to nie powinno mieć jakiegokolwiek znaczenia. Przyczyną każdej wojny na naszym świecie jest to, że nie potrafimy się solidaryzować z drugim człowiekiem. Ograniczamy się do solidarności w naszym własnym kraju, z ludźmi tego samego pochodzenia. A prawda jest taka, że żadną wojnę, jak np. drugą wojnę światową, nie rozpoczął Polak z Polakiem. Ci młodzi ludzie, których wspominałam na początku nie zginęli, ponieważ Polak z Polakiem nie mogli dojść do porozumienia. Ci młodzi ludzie, którzy mieli jeszcze tak dużo przed sobą, stracili swoje życie, ponieważ jeden naród nie mógł dojść do porozumienia z drugim. Ponieważ jeden człowiek nie potrafił znaleźć w swoim sercu nawet odrobiny miłości do drugiego człowieka, pomimo jego pochodzenia.

Tak bardzo skupiamy się na dylemacie solidarności w Polsce, czy nawet z Polakami za granicą, że zapominamy o tym, że Polska i Polacy nie są jedynym narodem i krajem na tym świecie. Dzisiaj, wielu Polaków mieszka 'za granicą', dlatego nie rozumiem, dlaczego solidarność według Polaków jest tylko ważna w Polsce. Owszem, utrzymywanie tradycji, ojczyzny i kochanie swojego kraju bezgranicznie jest niezmiernie ważne. Polska Szkoła Sobotnia i nieliczne polskie społeczeństwa zagraniczne, pozwalają nam utrzymać tę tradycję. Nasz kraj nas utożsamia i nasza narodowość buduje naszą tożsamość, lecz w naszych

sercach powinno być więcej miejsca na wszystkich ludzi na tym świecie.

Ja od tamtego czasu dorosłam i dojrzałam. Odkryłam swoją tożsamość i nauczyłam się kochać swoją narodowość, która mnie wyróżnia wśród moich rówieśników i sprawia, że jestem wyjątkowa na swój własny sposób. Mój akcent, który tak często sprawiał, że czułam się gorsza i mnie powstrzymywał od mówienia, jest teraz dla mnie atutem, którego się nie wstydzę, ponieważ to on jest przyczyną tego, że jestem w stanie płynnie porozumiewać się w dwóch językach i dzięki temu zyskałam przyjaciół nie tylko w Irlandii, lecz też w Polsce. Wiem też, że to nie jest coś, czego powinnam się ani trochę wstydzić. Za to muszę podziękować mojej kochanej mamie, która mnie nauczyła, że bycie innym nie robi z nas gorszych, lecz czyni wyjątkowymi. Nie obwiniam nikogo za to, co mi się przytrafiło, ponieważ to zdarzenie udowodniło mi, że solidarność między ludźmi każdego pochodzenia jest tak samo ważna jak solidarność w Polsce, którą tak często głosimy. Dlatego właśnie bądźmy inni, wyróżniamy się i nie wstydźmy się kim jesteśmy, ponieważ żyjemy w 21. wieku i nienawiść międzyludzka i ocenianie drugiego człowieka z powodu jego poglądów jest przereklamowane. Zamiast tego, kochajmy ludzi, WSZYSTKICH ludzi i okazujmy każdej osobie taki sam szacunek i miłość, jaką byśmy sami chcieli otrzymać.

Podsumowując, uważam, że pytanie, które zostało mi zadane było źle sformułowane. Ponieważ jako Polacy, którzy wyjechali do innych krajów i zamieszkali w obcych rejonach, nie powinniśmy stawiać tylko polskiej solidarności na pierwszym miejscu, jeśli mieszkamy wśród ludzi, którzy często, posiadają inną narodowość od naszej. Moja opinia brzmi, nauczmy się solidaryzować ze wszystkimi na tej naszej wspólnej ziemi, którą zostaliśmy obdarowani i nauczmy się kochać ludzi a nie ich stereotypy.

**Maria Zając, 18 lat, Irlandia Północna**  
**Praca nagrodzona w konkursie „Być Polakiem”**



# ALEKSANDER FORD



Aleksander Ford (ur. 24 listopada 1908 w Kijowie, zm. 4 kwietnia 1980 w Naples, USA) – polski reżyser filmowy i scenarzysta. Urodził się w rodzinie żydowskiej. Studiował historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1945–1947 był dyrektorem przedsiębiorstwa *Film Polski*.

W latach 1948–1968 był wykładowcą w łódzkiej Szkole Filmowej – jego uczniami byli m.in. Andrzej Wajda i Roman Polański. W latach 1954–1956 był dziekanem Wydziału Reżyserii tej uczelni. Należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W 1968 w wyniku antysemitki nagonki, będącej następstwem wydarzeń marcowych, został pozbawiony prawa do pełnienia jakiejkolwiek funkcji w kinematografii. W 1969 wyemigrował z Polski: najpierw do Izraela, następnie do RFN, potem do Danii, na koniec do Stanów Zjednoczonych. 4 kwietnia 1980 popełnił samobójstwo w motelu w miejscowości Naples na Florydzie.

Pierwsze filmy tworzył już w czasie studiów, były to filmy krótkometrażowe o tematyce społecznej: *Nad ranem* i *Tętno polskiego Manchesteru* (1929), oraz filmy o nabrzmiałych problemach społecznych: warszawskich gazeciarskich (*Legion ulicy*), dzieciach chorych na gruźlicę (*Droga młodych*), wodniakach *Ludzie Wisły*. Zrealizował je dla Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego *Start*, którego był współzałożycielem. Prasa chwaliła te dokumenty za odwagę, autentyczne plenery i chwytanie życia na gorąco. W 1932 dostał nagrodę branżowego pisma „Kino” za najlepszy film.

Pierwszy pełnometrażowy film fabularny, *Mascotte*, wyreżyserował w 1930, w wieku zaledwie 21 lat. Pierwszym ważniejszym filmem, który przyniósł mu rozgłos, był zrealizowany w 1932 *Legion ulicy*. Także w 1932 autor wyjechał do Palestyny, by nakręcić cykl filmów dokumentalnych o osadnikach żydowskich: *Sabra*, *Kronika palestyńska*, *Makabiada*, następnie film podejmujący także tematykę żydowską *Droga młodych* (*Mir kumen on*, 1936). Zaproponowano mu zorganizowanie narodowej żydowskiej kinematografii, jednak odmówił, bo był przeciwnikiem nacjonalizmu żydowskiego, podobnie jak arabskiego.

W czasie II wojny światowej, w latach 1940–1943, kręcił filmy szkoleniowe dla Armii Czerwonej. Później był kierownikiem Czołówki Filmowej Wojska Polskiego przy I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, tworząc szereg filmów dokumentalnych, m.in. pierwszy w powojennej Polsce film dokumentalny *Majdanek – cmentarzysko Europy*.

Socrealistyczna w treści, ale neorealistyczna w formie *Piątka z ulicy Barskiej* zdobyła w 1954 nagrodę za reżyserię na festiwalu w Cannes. Bezprecedensowy sukces Ford odniósł jednak dopiero ekranizacją *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza, który jest najbardziej znanym filmem przez niego wyreżyserowanym.

# ALEKSANDER FORD A JANUSZ KORCZAK

Ostatnim obrazem, jaki zrealizował Aleksander Ford, była opowieść o Januszu Korczaku – żydowskim lekarzu i pedagogu, prowadzącym dom dziecka w getcie warszawskim. Film produkowała firma CCC Filmkunst, z którą Ford pracował już parokrotnie. Biografia doktora była ważnym i osobistym projektem Artura Braunera. Do jej sfilmowania przymierzał się podobno od wielu lat. Była to równocześnie druga próba zrealizowania filmu o Korczaku przez Forda. Za pierwszym razem, jeszcze w Polsce w 1967 roku, władza ludowa na fali antysemitycznych tendencji przerwała produkcję, co było jedną z przyczyn, dla których Aleksander Ford wyjechał z kraju. Aby lepiej zrozumieć zrobiony po sześciu latach od tamtego wydarzenia, już w kapitalistycznych warunkach, film *Jest Pan wolny doktorze Korczak*, warto przez chwilę zatrzymać się przy pierwszym polskim projekcie.

Prace nad filmem mającym być kolejną koprodukcją z zachodnioniemieckim producentem rozpoczęły się w 1959 roku. Kilka lat trwały negocjacje i formalności polskiej biurokracji. Już w fazie zatwierdzania scenariusza reżyser spotkał się z problemami natury politycznej. Napisanie scenariusza powierzono amerykańskiemu komuniście Benowi Barzmanowi, co wzbudziło oburzenie komisji zatwierdzającej produkcję. Dalsze wersje scenariusza napisali Arnost Lustigow, Howard Fast, aż wreszcie ostatnią, swoim nazwiskiem podpisał Bohdan Czeszko, wieloletni współpracownik Forda. Po wielu zakulisowych rozgrywkach film skierowano do produkcji. Jak wspomina Artur Brauner:

*Reżyser Ford otrzymał pierwszą część swojej gaży. Były gotowe również kostiumy, wysłany negatyw. Część warszawskiego getta miała nie zostać rozebrana, żebyśmy mogli kręcić w oryginalnej scenerii. (...) Gotowa była dokumentacja, opracowana koncepcja reżyserska i operatorska, odbyły się zdjęcia próbne i wybrano aktorów. W toku były prace adaptacyjne na terenie plenerowym wytwórni, w jej halach wybu-*

*dowano pełny pierwszy komplet dekoracji. Wtedy Film Polski na zlecenie „wyższych czynników” kazał zawiesić pracę, bez żadnych wskazówek, co robić dalej. Wypowiedziano umowę koproducentką, jako powód podając kilkudniowe opóźnienie w nadesłaniu poprawek scenariusza. Po paromiesięcznych dyskusjach, potem zaś w prasie, otwarcie głoszone, że Korczak był zabroniony ze względu na syjonistyczne tendencje szkalowania narodu polskiego.*

Opóźnienia w przesyłaniu już zresztą zaakceptowanych poprawek i tłumaczeń jako powodu zerwania produkcji filmu nikt w przedsiębiorstwie Film Polski nie brał poważnie. Głównym motywem była raczej ostra antysyjonistyczna polityka, która wybuchła w 1967 roku.

Czytając dziś napisany przez Bohdana Czeszkę scenariusz *Korczaka*, którego kopia znajduje się w bibliotece Filмотeki Narodowej w Warszawie oraz znając twórczość Aleksandra Forda można stwierdzić, że tekst doskonale nadawał się właśnie dla tego reżysera. Zawiera charakterystyczne dla reżysera wątki społeczne, odpowiednią dawkę patosu i sceny budowane na zasadzie kontrastów.

Co ciekawe, scenariusz nie idealizuje wcale postaci Korczaka. To film przyjmujący narrację drogi, którą codziennie musi przechodzić doktor, szukając jedzenia i wsparcia dla swojego sierocińca. Doktor Korczak, taki jakim chciał go widzieć Ford, to człowiek zmęczony i niepozabawiony wad. Jedyne sens znajduje w beznadziejnej walce o przetrwanie dzieci w wymierającym getcie. Korczak jest wybuchowy, nie stroni od alkoholu, trzyma zarówno z bogaczami i wpływowymi oficjelami miasta za murami getta, jak i z szmuglerami i bandytami, którzy kolaborują z wrogiem. Jego celem jest bowiem ratowanie dzieci wszelkimi dostępnymi dla niego sposobami. Jako pedagog wzbudza szacunek, ale jako człowiek jawi się głównie jak załamany starzec.

Jest w filmie kilka odważnych scen, które pozwalają przypuszczać, że gdyby Ford mógł rozpocząć

i dokończyć zdjęcia jeszcze w Polsce, powstałby film interesujący i na wysokim poziomie artystycznym, mający znamiona starego stylu reżysera.

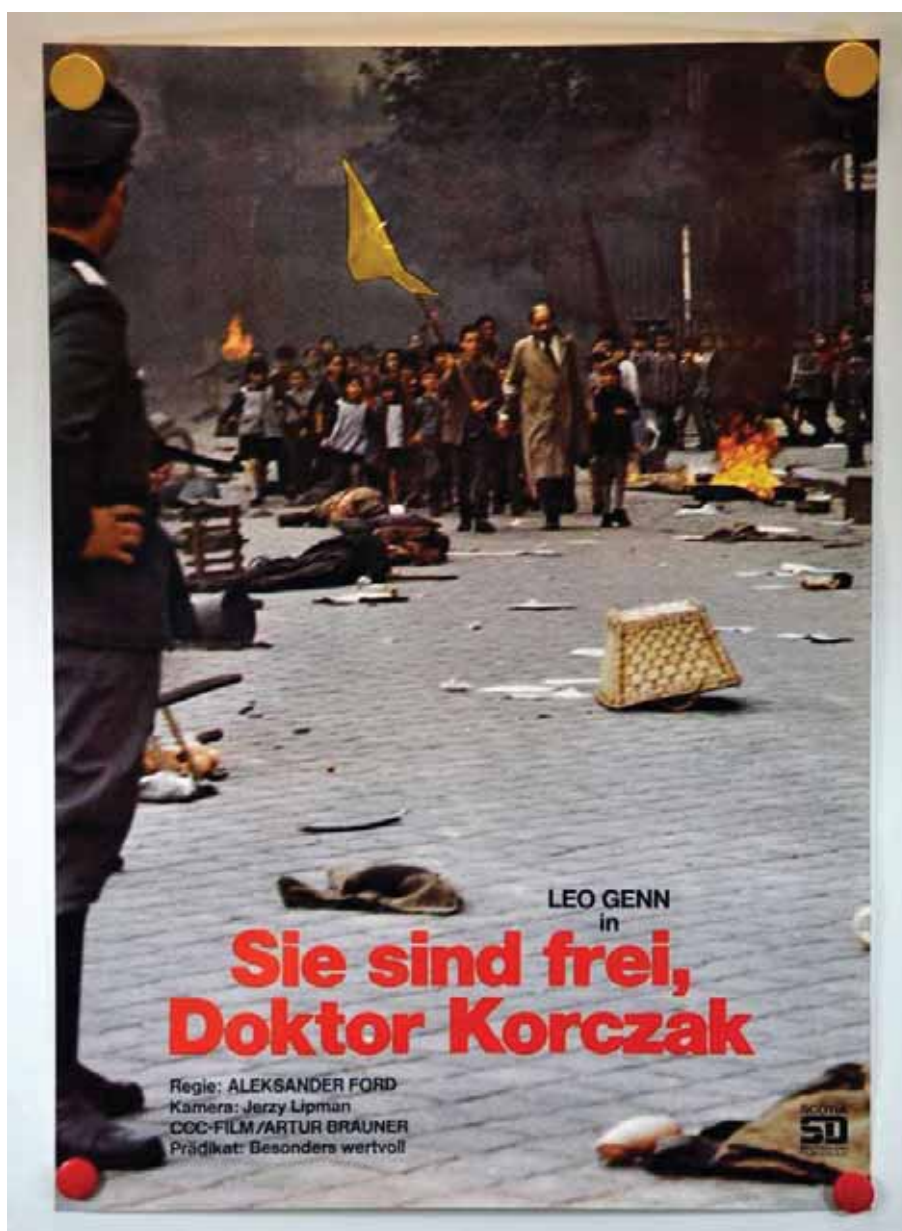
Produkcję filmu wstrzymano, ale zaangażowanie twórców i potrzeba opowiedzenia szlachetnej historii pozostała. *Jest Pan wolny doktorze Korczak*, który powstał po sześciu latach w Niemczech Zachodnich, był filmem zupełnie innym niż projekt polski, był też jedynie cieniem tego, co chciał i potrafiłby stworzyć Ford wraz z Braunerem w 1967.

W niemieckim filmie na próżno można szukać pomysłów i świeżości właściwej polskiemu projektowi. Scenariusz był wypadkową poprzednich tekstów. Poprawki wprowadzone zostały przez wielu autorów.

I tym razem Ford nie umiał odnaleźć się w kapitalistycznych warunkach, w jakich ruszyła produk-

cja filmu. Współpraca z firmą CCC przy tworzeniu *Korczaka* nie przebiegała bez konfliktów. Reżyser był gotów wycofać swoje nazwisko z czołówki, ponieważ ograniczono mu dostęp do prac postprodukcyjnych i montażu. Nie miał wpływu na kompozytora muzyki i ostateczny kształt filmu. Przede wszystkim zaś opóźnienia w podejmowaniu decyzji przez CCC doprowadzały Forda do frustracji twórczej. Praca na planie w Niemczech odbiegała od tego, do czego przyzwyczał się w Polsce. Niedostatek pieniędzy i czasu zmusił go do pójścia na kompromisy artystyczne.

*Sie Sind Frei, dr Korczak* prezentuje bohatera w sposób dokumentalny. Towarzyszy jego codziennej, heroicznej drodze w poszukiwaniu dobroczyńców w urzędach getta, domach publicznych, wszędzie tam, gdzie może otrzymać pomoc, aby swoim





podopiecznym zapewnić kolejny dzień przetrwania. Doktor jest zmęczonym człowiekiem, chodzi przygrabiony w długim płaszczu. Jest powszechnie szanowany przez mieszkańców getta, choć trudno w nich odnaleźć zrozumienie dla pracy doktora. Film ukazuje życie Korczaka i ludzi z jego otoczenia, którzy na różne sposoby starają się przetrwać okupację. Młodzi opiekunowie z domu dziecka kochają się i pragną wziąć ślub. Nie godzą się na swój los i w momencie likwidacji getta chwytają za broń. Jedni mają jeszcze nadzieję na przetrwanie, inni starają się żyć jak dawniej, udając, że są wolni. Ford przedstawia panujące w sierocińcu nietypowe zasady, w myśl których dzieci mają swój sąd i traktowane są na równi z dorosłymi. Blżej przygląda się Michałowi, dorastającemu chłopcu, który jako jeden z niewielu dostrzega nieuchronną zagładę.

Film całą swoją narrację opiera na dialogach – głównym motorze akcji. To niestety największa słabość filmu. Kamera zajmuje się przede wszystkim filmowaniem rozmawiających postaci, co nuży. Dokumentalna formuła obrazu nie zaskakuje widzów. Natarczywe stosowanie monologu z poza kadru i archiwalnych zdjęć z historii getta warszawskiego nie budzi emocji. Można w filmie znaleźć bardzo słabe fragmenty, wykorzystujące banalne schematy i tani sentymentalizm. Taka właśnie jest choćby scena, w której osierocona dziewczynka upada na bruk, prowadząc młodszego braciszka. Przewraca się tuż pod nogami doktora, a ten oczywiście przygarnia ich do siebie.

Obok słabych scen są i takie, które poruszają. Choćby ta ukazująca ucieczkę Michała kanałami do getta. Warto zwrócić uwagę na tę krótką scenę, ponieważ zastosowana w niej sceneria często wykorzystywana była przez Forda w jego wcześniejszych filmach. W kanałach rozgrywał się finał *Ulicy Granicznej*, *Piątki z ulicy Barskiej*. Wydawać się może, że ta filmowa przestrzeń została już „ograna”. Tymczasem w opowieści o Korczaku Ford po raz kolejny potrafił stworzyć nową wizję tragicznej i dramatycznej ucieczki. Kanały w jego ostatnim filmie są jeszcze bardziej przerażające i dramatyczne, pełne trujących gazów, szczurów i wąskich przejść. Sceną tą reżyser po raz kolejny pokazał swój kunszt. Interesująca jest również scena, gdy polskie dzieci terroryzują małych uciekinierów z getta. Ukazując, że potrafią być jeszcze bardziej okrutne niż dorośli.

Innym ciekawym fragmentem *Korczaka* jest sekwencja, w której już po rozkazie opuszczenia getta, mali mieszkańcy domu dziecka, siedząc przy stole, zaczynają śpiewać. Jest to ich reakcja na nerwowe postukiwanie doktora. Wykorzystują zdenerwowanie opiekuna do spontanicznej zabawy. Ford

w długiej panoramie ukazuje ich twarze – wynędzniałe, ale pełne życia. I oto dzieje się rzecz dziwna. Dzieci zaczynają tańczyć w kółkach, w parach i wężychkach, a ich radosny śpiew wypełnia całą kamienicę. Kamera uwalnia się, zapominając na chwilę o swoich dokumentalnych „obowiązках” i tańczy wokół podopiecznych Korczaka. Całość sfilmowana jest jak musical. Ekran wypełniają fantastyczne ujęcia, feeria kolorów i kształtów. W czasie piosenki wszyscy zdają się zapomnieć o trudnym losie. Przywołany tu fragment uświadamia widzom i filmowemu Korczakowi, że tylko w niewinności dzieci kryje się siła do pokonania tragicznego losu. Scena stanowi chwilę wytchnienia przed dramatycznym finałem. To właśnie w niej i portretach dzieci kryje się największa wartość filmu.

Krytyka nie przyjęła filmu przychylnie. Piętnowano akademickość realizacji, źle obsadzoną główną rolę Leo Genna, patos i sentymentalizm. Premiera nie zainteresowała również samej widowni. Reżyser załamał się i stracił zapał do pracy.

Aleksander Ford jeszcze raz wrócił do historii doktora Korczaka. Zrealizował niewielkie, skromne przedstawienie w kopenhaskim teatrze Atheneum 77 w 1979 roku, jakby mając świadomość, że jeszcze nie opowiedział tej historii, która towarzyszyła mu od tyłu lat. Tym razem sam napisał scenariusz. Przedstawienie wystawione w Kopenhadze zostało bardzo dobrze przyjęte przez krytykę i widownię. Sztukę grano po angielsku ze znanym aktorem brytyjskim Vladkiem Shejbalem w roli tytułowej (w pozostałych rolach: Josephine Larsen, Ivan Beavis, Pale Robinson, Bilha Edelson; Scenografia: Andrzej Żak; Muzyka: Ewa Dąbrowska; Kostiumy: Małgorzata Hessner; Światło i efekty specjalne: Marian Hirschorn, Andrzej Świętek, Marek Szpet). Próby zorganizowania tournée po Wielkiej Brytanii nie powiodły się jednak. Po tym niepowodzeniu Aleksander Ford ostatecznie zrezygnował z działalności artystycznej.

Losy reżysera i jego filmu na emigracji niestety podobne są do losów wielu artystów, którzy w tym okresie zmuszeni byli do opuszczenia kraju. Tęsknota za krajem, który był głównym motorem pracy twórczej i trudności z odnalezieniem się w nowych warunkach komercyjnej produkcji filmowej złamała nie jedną biografię. Po raz kolejny Aleksander Ford pokazał, że mimo niesprzyjających warunków, w sztuce interesowały go podobne problemy i głęboko humanistyczne tematy, tworząc nierówny jakościowo, ale niepowtarzalny i autorski styl.

**Filip Jacobson**

(fragment pracy magisterskiej pt. *Wybrane aspekty biografii i twórczości Aleksandra Forda*, Łódź 2007)

# OM JANUSZ KORCZAK

Man ved ikke helt med sikkerhed i hvilket år forfatteren Janusz Korczak blev født. Det skete i enten 1878 eller 1879. Og man kender heller ikke de nærmere omstændigheder omkring hans død. I august 1942 blev han af tyskerne sendt fra ghettoen i Warszawa til koncentrationslejren Treblinka, og hvad der er sket med ham dér, kan man jo nok gætte sig til. Til gengæld modtog han i 1972 posthumt de vesttyske boghandlers fredspris.

Hans egentlige navn var Henryk Goldszmit. Han voksede op i en velhavende jødisk advokatfamilie, hvis forhold dog brat ændredes da faderen pludselig blev sindssyg og døde, hvorved rollen som forsørger for moderen og søsteren kom til at hvile på drengens skuldre. Han var kun 11 år gammel da det skete, og hele sin gymnasie- og studietid igennem måtte han påtage sig jobs for at skaffe penge til huse. På den måde fik han et nært kendskab til Warszawas proletariat. Hans egen personlige ulykke gjorde endvidere at børn blev midtpunktet for hele hans senere virke – det var formodentlig også den der bevirkede at han besluttede aldrig selv at sætte børn i verden.

Allerede i studietiden – han læste medicin, og specialiserede sig naturligvis som børnelæge – havde han fået udgivet en del skønlitterære værker, både skuespil, fortællinger, essays og en enkelt roman. Samtidig udvidede han sin horisont dels ved studieophold i Berlin, Paris og London, dels ved som militærlæge at deltage i den russisk-japanske krig i 1904. Oplevelserne her gjorde ham til overbevist pacifist.

I stigende grad begyndte han at arbejde med børn anbragt på børnehjem og andre institutioner, og snart opgav han sin private praksis for at blive forstander for et hjem for forældreløse jødiske børn. Efter første verdenskrig, hvor han havde været indkaldt til den russiske hær som militærlæge, stiftede han endnu et hjem for forladte, ikke-jødiske børn. Mod sin vilje var han nødt til at acceptere denne religionsopdeling af børnene.

Mange af de ideer som Korczak fremlægger i sin bog *Den lille Konge* (på polsk – *Król Maciuś Pierwszy*) i let utopisk form havde han allerede praktise-

ret på sine børnehjem, således børnedomstole og børneparlamentar, alt sammen noget der skulle tjene til at gøre børnene til frie og selvstændige mennesker.

Men de økonomiske forhold var elendige. Polen var et fattigt land, også efter at det var blevet frigjort fra Rusland. På børneinstitutionerne havde man i bogstavelig forstand ikke til det daglige brød: undertiden fik børnene kun brød en gang om måneden. En stor del af Korczaks arbejde gik derfor med at skaffe penge til børnehjemmene, dels ved noget der bedst kan karakteriseres som tiggeri, dels gennem hans virksomhed som skribent og foredragsholder.

Den ejendommelige blanding af utopisk eventyrstil og glæde ved nutidens tekniske vidundere, man kan iagttage i *Den lille Konge*, prægede også Korczaks praktiske indsats. Han gav sig med ildhu til at udnytte det helt nye massemedium, radioen, hvor både børn og voksne lyttede til hans foredrag om børneopdragelse, om børns problemer og om børns måde at opfatte verden på.

En af Korczaks hovedteser var at ethvert barn var forskelligt fra alle andre, og at det derfor ikke var muligt, eller i hvert fald ikke hensigtsmæssigt, at operere med pædagogiske systemer der anskuer børn som en ensartet masse. Også denne holdning er det let at forbinde med hans egen personlige enegang. Han var ikke ortodoks jøde, og stod derfor i et vist modsætningsforhold til de troende; han var heller ikke kristen og mærkede derfor fra barnsben den polske antisemitisme, som dengang var lige så stærk som den har vist at være i nyere tid. Han var præget af socialistiske ideer, men ikke tilsluttet noget parti, og hans pædagogik blev derfor kritiseret af Nadezjda Krupskaja – Lenins kone – i hendes forord til den sovjetiske udgave af hans bog *Hvordan man skal elske et barn* fra 1919.

I 1928 kom den mest kendte af Korczaks børnebøger: *Den lille Konge*. Selve genren, den belærende børnebog, var naturligvis på ingen måde ny. Det der er det inciterende ved bogen er nok at den vil belære ikke blot børn, men også voksne. Den er et moderne, verdsligt, demokratisk modstykke til den slags værker man i tidligere tider ville have

kaldt for et kongespejl – en bog *ad usum delphini*, der beskriver hvordan samfundet bør regeres. Men kombineret med mindelser om andre fantastiske børnebøger: *Alice i Vidunderland*, *Gullivers Rejser*, *Junglebogen*.

*Den lille Konge* blev en succes, både i Polen og internationalt. Den blev oversat til en lang række sprog, på dansk først i 1982. Dens stil er stærkt præget af forfatterens iagttagelser af børns måde at snakke på. Korczak omgikkes med planer om på samme måde at skrive nogle bøger for to år gamle børn, baseret på den sproglige rytme i de ganske simple og rudimentære sætninger børn i den alder er i stand til at udtrykke.

Den tyske besættelse af Polen måtte naturligvis blive en katastrofe for alt hvad Korczak stod for. Under nazismen var der ikke plads til medfølelse og indfølelse, til solidaritet med undertrykte, til fordomsfrihed og kærlighed. Korczak nægtede at gå med Davidstjernen, og blev smidt i fængsel. Han sang forbudte sange med børnene på børnehjemmet,

og blev atter kastet i fængsel. Da børnene blev overflyttet til ghettoen, fulgte han naturligvis med.

Og på samme måde fulgte han børnene da de kommanderedes ud på den sidste vandring. Der er vidnesbyrd om at han fik indtil flere muligheder for at slippe væk, men forkastede dem, fordi han ville blive hos dem der var blevet hans opgave her i livet. I den sidste tid synes hans følelse af at være jøde at forstærkes. Ved en koncert i ghettoen betjener han sig for første gang af sproget jiddisch, selv om han hele sit liv ellers havde benyttet sig af polsk.

Den dagbog som Korczak førte i den sidste tid i ghettoen giver et vist indtryk af de ufattelige lidelser og den håbløshed der prægede tilstanden. Dagbogen er blevet dramatiseret af den i nu afdøde polske forfatter og instruktør Aleksander Ford. Stykket *Dr. Korczak* blev i 1979 uropført – på engelsk – i København af en teatergruppe bestående af herboende flygtninge fra Polen.

**Jens Juhl Jensen**



# POLSKA-DANIA NA POGRANICZU DWÓCH KULTUR Z NOTATNIKA I WSPOMNIENIŃ REŻYSERA

Od autora:

Książka składa się z trzech części. Pierwszą częścią jest obszerny esej, którego tytuł jest zarazem tytułem książki. Druga część to pierwsze tłumaczenie na język polski eseju/felietonu Sørena Kierkegaarda z roku 1847 *O kryzysie i kryzys w życiu pewnej aktorki* (Krisen og en Krise i Skuespillerindes Liv), gdzie filozof daje niezwykle aktualną i wnikliwą analizę problemu kobiecości i płci (seksizmu!) w ocenie sztuki aktorskiej na podstawie kariery i ról legendarnej duńskiej aktorki pochodzenia żydowskiego Johanny Louisy Heiberg. Tłumaczenie opatrzyłem obszernym komentarzem. To samo dotyczy trzeciej części książki, pierwszego tłumaczenia na język polski, komedii Ludwika Holberga *Erasmus Montanus* z okresu oświecenia, o walce oświaty i postępu z ciemnotą i zacofaniem.

Moje tłumaczenie sprawdziło się w inscenizacji czytanej w Królewskich Łazienkach w Warszawie, które zrealizowałem z udziałem 11 aktorów, z okazji stulecia nawiązania stosunków dyplomatycznych Dania-Polska w listopadzie 2019. W moim tłumaczeniu i opracowaniu jest wiele bezpośrednich aluzji do sytuacji w dzisiejszej Polsce... Cytat z początku eseju o punktach przecięcia kultur (główna i tytułowa część książki). ... *A Hans Christian Andersen?* Normalne dzieciństwo w normalnych warunkach kojarzy nam się z lekturą jego baśni. Ale ja nie miałem normalnego dzieciństwa. Ten okres życia spędziłem na Syberii, dokąd moja rodzina dotarła, uciekając przed Hitlerem z Warszawy na początku II wojny światowej... Otaczający mnie wówczas świat surowej, lecz pięknej przyrody syberyjskiej sam w sobie przypominał baśń, ale na pewno nie spod pióra Hansa Christiana Andersena.

Jarosław Iwaszkiewicz pisał w swojej książce o Danii pt. *Gniazdo łabędzi*: [...] dla mnie najdawniejszym wspomnieniem z dalekiego ukraińskiego dzieciństwa jest księga bajek Andersena..., która mi po raz pierwszy mówiła o kraju pięciuset wysp i kazała go pokochać. Andersen sprawił, że kochałem Danię, zanim ją jeszcze poznałem [...]

Nie, ja takiego uczucia nie doznałem. Mój świat baśniowy roztaczał się z wierzchołków wysokich

*Prawie pięćdziesięcioletni pobyt w Danii spowodował, że Włodzimierz Herman zapuścił głęboko korzenie w kulturze skandynawskiej, stając się swoistym pomostem między literaturą polską i duńską. Autor książki tłumaczy zarówno z, jak i na język duński. Wydobywa z zapomnienia „starych” duńskich autorów, czym wpisuje się trwale do historii literatury obu krajów, zwłaszcza, że Herman nie zerwał więzi z krajem swojego urodzenia i artystycznego startu. To godne odnotowania, co uwzględniły w obu krajach czynniki odpowiedzialne za wymianę kulturalną (...).*

*Cieszymy się, że w osobie Włodzimierza Hermana znaleźliśmy niezwykle kompetentną osobę, która wnosi wkład w poszerzanie horyzontów polskiej i duńskiej humanistyki na wielu polach: literatury, teatrologii i filozofii, głównie za sprawą przekładów oraz opracowań scenicznych sztuk i dzieł choćby Szymona Anskiego, Sørena Kierkegaarda czy Ludwiga Holberga.*

Karol Toeplitz, Maria Urbańska-Bożek,  
Słowo wstępne

drzew syberyjskich, na które wspinaliśmy się jako chłopcy, by wykraść ptakom jajka z gniazd. Wówczas i długo jeszcze później ani o Danii, ani o Andersenie nie słyszałem. Odkryłem go dopiero jako dojrzały człowiek. Czytałem go w oryginale, po duńsku, tłumacząc sobie samemu – dorosłemu mężczyźnie – że ten genialny pisarz tworzył swoje baśnie tylko pozornie dla dzieci.

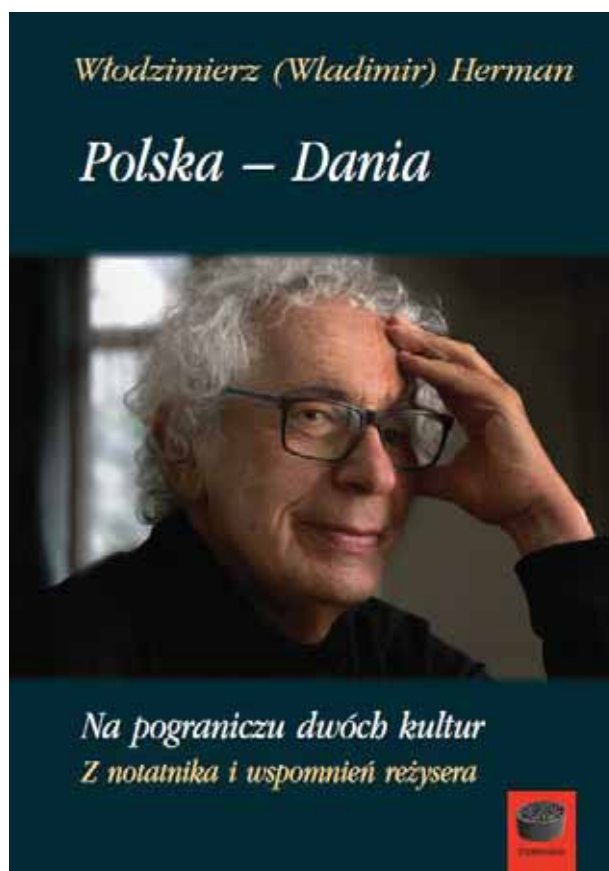
Parafrazując Iwaszkiewicza i wyrażając się nieco górnolotnie mogę powiedzieć: poznałem i pokochałem Danię zanim poznałem i pokochałem baśnie Hansa Christiana Andersena.

Cytat końcowy eseju:..byliśmy i jesteśmy (emigracja pomarcowa) żywym przykładem kultur, bytujących i działających na pograniczu: polskiej i duńskiej. Rasa, religia, światopogląd jest tu całkowicie bez znaczenia. Irytuje to niestety wielu ludzi, którzy postulują, że kto nie jest katolikiem... musi być wrogiem narodu. Zresztą takie problemy są aktualne nie

tylko w Polsce. Wystarczy rozejrzeć się po całej Europie, po świecie... Z zaangażowaniem i zdecydowanie neguje się dzisiaj, w pewnych środowiskach i krajach, konieczność przenikania się kultur, a nawet traktuje się to jako zagrożenie dla tożsamości, lekceważy się ich punkty przecięcia, postulując linie równoległego rozwoju, linie, które się nigdy i nigdzie nie spotkają. I nie przetną... Ale właśnie te punkty przecięcia są tak ważne i potrzebne, jak baterie do zasilania urządzeń, jak witaminy dla organizmu. Są konieczne dla inspiracji, rozwoju i witalności kultur narodowych. I w konsekwencji niezbędne dla ludzkiej cywilizacji. Bo nic nie powstaje w próżni. Nic nie stoi w miejscu. Bo ziemia jest naprawdę okrągła, jak twierdzi Rasmus u Holberga. *I jednak się kręci*, jak stwierdził to na przekór Inkwizycji, dawno temu Galileusz.

### Włodzimierz Herman

Włodzimierz Herman: *Polska – Dania. Na pograniczu dwóch kultur. Z notatnika i wspomnień reżysera*. Wydawnictwo Marek Derewiecki, 2020 r.



# ŚMIERĆ NIEOSĄDZONA

## *Sprawa ks. Romana Kotlarza*

Wchodząc od razu *in medias res*, trzeba powiedzieć, że tym, co w życiu ks. Romana Kotlarza, opisanym w recenzowanej książce, stanowiło kwintesencję jego osobowości, było kapłaństwo. Żadne życie doczesne nie pozostaje bez śladu. I nie chodzi tu tylko o dziedzictwo naturalne, potomstwo, ród, wymierny dorobek, ów naturalny proces przedłużania rodzaju ludzkiego, nić życia snującą się poprzez pokolenia. W tym łańcuchu życia kapłan jest jak gdyby z boku i niejako poza, bo niepowtarzalność kapłaństwa wyraża się zamknięciem w jednym konkretnym życiu ludzkim. Ale kapłaństwo przeplata się także z tym, co doczesne, w czym mieszczą się najważniejsze komórki mające moc pomnażania życia. Jest to przede wszystkim rodzina w najszerszym tego słowa znaczeniu – to w wymiarze fizycznym, natomiast w duchowym – całe bogactwo wartości, nadających sens wszystkiemu, czym człowiek ubogaca świat. Kapłaństwo ma w tym swój udział, bo jest w pewnym sensie kontynuacją stwórczego dzieła Boga. Kapłaństwa nikt sobie nie wybiera – swój udział ma w nim Boża Opatrzność działająca poprzez Kościół mający mandat Chrystusa. To Jezus udzielił mu tego wyjątkowego daru służącego zbawieniu człowieka. Jest to służba polegająca na szafowaniu skarbem pozostającym w posiadaniu Kościoła. Konkretnie Bóg powierzył to ludzkim rękom i wszystkiemu, w co człowieka wypozażył. Sprawił zarazem, że Łaska działa niezależnie od ludzkich możliwości i jego sprawności, a nawet od wierności powołaniu. W tym objawia się niezwykłość ekonomii zbawienia, niezawodzącej nigdy i w żadnych okolicznościach.

Książka *Śmierć nieosądzona. Sprawa ks. Romana Kotlarza* autorstwa ks. dra Szczepana Kowalika i dra Arkadiusza Kutkowskiego to właśnie taka swoista mapa drogi ks. Romana Kotlarza, nieugiętego kapłana, o której wyżej wspomniano. Jest to przede wszystkim jego droga. Był on męczennikiem w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż

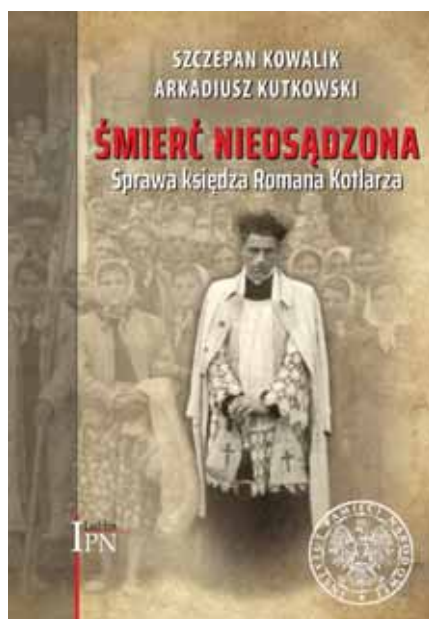
umarł w wyniku pobicia przez tajniaków z komunistycznej milicji, działających z mandatu peerelowskiego MSW, za to, że nie chciał sprzeniewierzyć się swojemu powołaniu (por. s. 289–290 i 296). Wielokrotnie odrzucał nachalne próby nakłonienia go do współpracy z reżimem PRL-u.

Ksiądz Roman Kotlarz urodził się 17 października 1928 r. w Koniemłotach. Zasłynął jako duszpasterz i kaznodzieja w czasach PRL-u oraz uczestnik protestu robotników, tzw. wydarzeń radomskich w 1976 r., prześladowany, a następnie pobity, wskutek czego zmarł 18 sierpnia 1976 r. w Radomiu jako ofiara komunistycznych represji. 1 grudnia 2018 r. w katedrze radomskiej rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny, przysługuje mu zatem tytuł Sługi Bożego Kościoła katolickiego.

W recenzowanej książce autorzy ukazują przyszłym pokoleniom nie tylko kapłana męczennika, ale także osoby, które, powierzone jego pieczy, uparcie stały przy nim w różnych sytuacjach życiowych, codziennych, a przede wszystkim w tych najtrudniejszych, światopoglądowych. Chronologicznie przedstawiony tu okres przypada na czasy PRL-u, a każdy, kto wtedy niewzruszenie stał przy wierze, manifestując swoje przywiązanie do Kościoła, składał w ten sposób bez słów wyznanie wiary budujące innych. Liczne zachowane zdjęcia i dokumenty, pozostają dziś pamiątką

i inspiracją nie tylko dla tych wszystkich, którzy odnajdują na nich swoich bliskich. To jest właśnie ów namacalny dowód na odradzanie się Kościoła w kolejnych pokoleniach. Autorzy wychodzą niejako ze swą narracją przez bramy współczesności. Pokazują to, co było, i to, co działo się za życia ks. Romana Kotlarza.

Praca powstała na podstawie różnorodnych i bogatych źródeł. Autorzy sięgnęli do wszystkich fundamentalnych przekazów, nie pomijając świadectw jeszcze żyjących osób śledzących tragiczne losy kapłana męczennika.



Recenzowane dzieło zostało spisane przede wszystkim po to, by nie zaginęła pamięć, żeby ocalał każdy ślad, nawet najdrobniejszy. Takie przekazy mają ogromną wagę. Służą to nie tylko umacnianiu więzi pokoleń. Każdy człowiek łaknie wzorców, zwłaszcza człowiek młody, szukający potwierdzenia swych dążeń i pragnień. Poszukuje postaci, i to nie tylko głośnych bohaterów, ale bardziej może ludzi z najbliższego otoczenia, żyjących jeszcze w pamięci najbliższych osób, w tym nierzadko własnych rodziców. Tacy ludzie przemawiają w sposób o wiele bardziej zrozumiały niż postaci pomnikowe. Autorom udało się przedstawić ks. Kotlarza właśnie jako duszpasterza zwyczajnego, a jednocześnie niezwykłego, pracującego w różnych parafiach diecezji sandomierskiej i radomskiej, w ścisłym powiązaniu ze środowiskiem, w którym przyszło mu żyć i duszpasterzować. Dziś są one rodzinnymi miejscami dalszych pokoleń.

Opowieść, zatytułowana wymownie *Śmierć nieosądzona*, przedstawiona przez autorów w pasjonujący sposób, stanowi żywy obraz przeszłości. Pomaga sprawdzać i umacniać tożsamość tych, którzy mają prawo czuć się spadkobiercami kapłana, którego nazwisko odczytują nie tylko na tablicy nagrobnej w Koniemłotach i w wielu jeszcze innych miejscach jego pamięci. Książka o Słudze Bożym, ks. Romanie Kotlarzu, jest więc poniekąd sagą kapłańską. Jest napisana językiem barwnym, wciągającym w bieg trudnych i tragicznych wydarzeń z życia Kościoła w okresie PRL-u. Bardzo liczne i bogate przypisy ułatwiają zrozumienie tego niełatwego czasu dla polskiego społeczeństwa.

Trud wyczerpującego przedstawienia tragicznego życia kandydata na ołtarze sowiec się opłacił, książka bowiem przyciąga uwagę, jeśli tylko ktoś zechce zagłębić się w jej fascynującą treść. To żywa saga, napisana z potrzeby serca, bez zbędnego balastu dokumentacyjnego. Dla przeciętnego czytelnika jest to lektura łatwa w odbiorze. W wystarczający sposób dostarcza odpowiedzi na ewentualne pytania, jakie mogą się pojawić w związku z planowaną beatyfikacją ks. Romana Kotlarza. Dla wnikliwszego badacza jest to kompendium wiedzy podstawowej i przewodnik prowadzący do zagadnień szczegółowych.

Książd Kotlarz pozostawił ślad swojej działalności, owoc swego trudu, nie tylko jako gospodarz powierzonej sobie parafii w Pelagowie koło Radomia, ale o wiele bardziej jako siewca Słowa Bożego i pasterz dusz. Świadectwo jego życia to bezkompromisowa wierność Bogu i umiłowanie Jego ludu daleko ponad ścisły obowiązek. Można tu zatem mówić o wyjątkowym heroizmie tego kapłana.

Książka ks. Szczepana Kowalika i Arkadiusza Kutkowskiego zajmuje bardzo ważne miejsce w literatu-

rze poświęconej diecezji sandomierskiej i radomskiej, ich kapłanom oraz pasterzom, ale także w ogóle całej społeczności katolickiej. To bowiem losy tej społeczności przewijają się na kartkach książki. Widać w niej też ogromny trud szperaczy i kustoszów pamięci nie tylko o kapłanach.

Dodajmy, że ks. Szczepan Kowalik, jeszcze jako uczeń II klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kochanowskiego w Radomiu, w 1998 r. wraz z trzema kolegami z inspiracji i przy pomocy profesor historii, dr Elżbiety Orzechowskiej, przygotował na ogólnopolski konkurs Ośrodka KARTA opracowanie w celu wyjaśnienia okoliczności śmierci ks. Romana Kotlarza, związanego bezpośrednio z wydarzeniami radomskiego Czerwca '76 roku.



**Ks. Roman Kotlarz** był jednym z bohaterów radomskiego protestu robotniczego z 25 czerwca 1976 r. Tego dnia, stojąc na stopniach kościoła pw. Świętej Trójcy w Radomiu, błogosławił idących w proteście pracowników Zakładów

Metalowych im. gen. Waltera w Radomiu. Za to zachowanie był wzywany na przesłuchania, przechodził „ścieżki zdrowia”, a także nachodzony i dotkliwie bity przez tzw. „nieznanych sprawców” na plebanii w Pelagowie-Trablicach, gdzie był proboszczem. Zmarł 18 sierpnia 1976 r. W pamięci wielu mieszkańców Radomia pozostał jako symbol walki robotników o wolność i godność ludzkiego życia.

Dziś ten rodzaj pisarstwa występuje już rzadziej, niż to było jeszcze dziesiątki lat temu, kiedy to *sacerdoti litterati* nie bywali rzadkością. Tym bardziej należy tu z przekonaniem podkreślić zasługi obu autorów, którzy tym samym nie tylko wystawili pomnik swojej ogromnej dociekliwości badawczej, ale przede wszystkim Słudze Bożemu, ks. Romanowi Kotlarzowi, którego uwiecznili w sposób pełen niezwykłego pietyzmu.

**Ks. Edward Walewander**

Szczepan Kowalik, Arkadiusz Kutkowski, *Śmierć nieosądzona. Sprawa księdza Romana Kotlarza*, Wyd. IPN, Lublin–Warszawa 2020, ss. 398, il., indeks geograficzny i osobowy, dokumenty.

# DZIADY – Pieśń katorżników (Fangernes sang)

## JEDEN Z WIĘŹNIÓW

Feliksie, musisz śpiewać; nalać mu herbaty  
Czy wina. –

## FELIKS

Jednogłośnie decydują braty,  
Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka,  
Feliks będzie wesoły i będzie piosenka.

*śpiewa*

Nie dbam, jaka spadnie kara,  
Mina, Sybir czy kajdany.  
Zawsze ja wierny poddany  
Pracować będę dla cara;

W minach kruszec kując młotem,  
Pomyślę: ta mina szara  
To żelazo, – z niego potem  
Zrobi ktoś topór na cara.

Gdy będę na zaludnieniu,  
Pojmę córeczkę Tatara;  
Może w moim pokoleniu  
Zrodzi się Palen dla cara.

Gdy w kolonijach osiędę,  
Ogród zorzę, grzędę skopię,  
A na nich co rok siać będę  
Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici –  
Srebrem obwita nić szara  
Może się kiedyś poszczyci,  
Że będzie szarfą dla cara.

## CHÓR (*śpiewa*)

Zrodzi się Palen dla cara  
ra – ra – ra – ra – ra – ra –

## EN AF FANGERNE

Så, Feliks, du må synge nu! I te skal skænke  
ja, vin –

## FELIKS

Hvis I er alle enige om det,  
at munter jeg skal være – om så hjertet brister,  
skal Feliks blive munter, og I får en sang.

*Han synger.*

Jeg er ligeglad, om faren  
i en mine bli'r min lod.  
Jeg vil tåle straffens brod  
og vil altid tjene tsaren.

Hvis jeg ser, at jern er varen,  
vil jeg tænke, at måske  
det engang gik hen og ble'  
til et økseblad for tsaren.

Kommer jeg i men'skeskaren,  
finder jeg en pige blid,  
håber, at der i min tid  
kommer en og myrder tsaren.

Kommer jeg til fjerne lande,  
vil jeg på det sted, jeg bor,  
dyrke havens gode jord,  
hamp og hør jeg dér vil vande.

Nogen vil så flette snaren,  
også fint med sølv indsprængt,  
på den rette måde krængt,  
løkken, der vil kvæle tsaren.

## KORET (*synger*)

Kommer en og myrder tsaren.  
aren – aren – aren – aren –



Oversat  
af Bent Christensen  
2020



# „EUGENIUSZ ONIEGIN” CZAJKOWSKIEGO – PRODUKCJA OPERY W AARHUS



**D**ania to kraj nieduży – wielkości polskiego województwa – z niewielką liczbą mieszkańców (około 5,8 miliona). Kraj składa się z wysp (największą jest Zelandia z Kopenhagą) i półwyspu Jutlandzkiego. Kopenhaga jest ponad milionowym miastem, na całą resztę przypada więc lekko ponad 4 miliony – im dalej od stolicy, tym jest bardziej przestronnie. Jest w Danii kilka mniejszych miast, z tego najważniejsze i największe jest Aarhus na Jutlandii (350.000 mieszkańców). Jeszcze 20 lat temu z Kopenhagi do Aarhus jechało się ponad 5 godzin, bo pociąg wjeżdżał na prom, który przecinał Wielki Bełt w ciągu około godziny, a samo wjeżdżanie i zjeżdżanie z promu zabierało bardzo dużo czasu. Od czasu, kiedy zbudowano 17-kilometrowy most nad Wielkim Bełtem, podróż ta trwa 3 godziny i 15 minut. Ale nie tyle odległości się liczą, co mentalność – Duńczycy na zachód od Bełtu, to zupełnie inni Duńczycy.

Na dodatek zachowały się w Danii bardzo silne regionalne dialekty, niezrozumiałe dla kogoś, kto się wychował (albo zawsze mieszkał) w stolicy. Aarhus, drugie co do wielkości miasto w Danii, cierpi na te same kompleksy, co większość miast niebędących stolicami (wystarczy wstawić „Kraków” zamiast „Aarhus”, to będzie łatwiej można zrozumieć, o co chodzi). Wszystko, co ma Kopenhaga, ma też Aarhus – tyle, że mniejsze. Nawet Królowa ma jeden ze swych pałaców w Aarhus (Marselisborg) i przebywa tam dość często. Aarhus ma więc siłą rzeczy i operę, *Den Jyske Opera* (Jysk = jutlandzki). Opera jest finansowana przez państwo, zarząd regionu i prywatnych sponsorów. Nie ma stałego zespołu śpiewaków, na

etatach zatrudniony jest tylko chór (około 25 śpiewaków), oraz warsztaty produkujące dekoracje i kostiumy. No i oczywiście administracja.

Opera nie ma też własnej orkiestry, współpracuje natomiast z orkiestrą symfoniczną w Aarhus. Nie ma też swojego budynku, przedstawienia odbywają się w *Musikhuset*, gmachu mieszczącym orkiestrę, z kilkoma salami koncertowymi. Opera produkuje około 5 przedstawień rocznie, ze śpiewakami zatrudnionymi kontraktowo do każdego spektaklu, z tego jedno z przedstawień odbywa turnée po całym kraju, odwiedzając około 15 miejscowości. W czasie tego turnée gra też jedno przedstawienie w Kopenhadze. W roku 2019 był to właśnie *Eugeniusz Oniegin* Czajkowskiego. Jako, że jest to przedstawienie objazdowe, wystawiane w mniejszych lub większych wnętrzach, dekoracje zawsze są oszczędne. Nie ma więc mowy o tym, by grać je na wielkiej scenie Opery w Kopenhadze, jedynie na starej scenie na Kongens Nytorv. Orkiestry regionalne towarzyszą operze – w Kopenhadze i na całej Zelandii jest to *Sjællands Symfoniorkester* (znana również jako *Copenhagen Phil*).

Przedstawienia opery w Aarhus są bardziej tradycyjne, niż wiele produkcji Opery Królewskiej i może dlatego cieszą się bardzo dużą popularnością wśród publiczności. Bilety na *Eugeniusza Oniegina* były np. wyprzedane na wiele miesięcy wcześniej. Wszystkie role (śpiewane po rosyjsku) są dublowane, obsadzone są zarówno przez duńskich, jak i zagranicznych śpiewaków. Dziwi fakt, że opera w Aarhus nie patrzy na Wschód przy produkcji słowiańskiej opery, a zadowala się śpiewakami, dla których rosyjski to *terra incognita*. W momencie gdy na scenę wszedł

Valerian Ruminski w roli hrabiego Gremina, od razu powiało inną atmosferą. Mimo że jest to amerykański śpiewak, z całą pewnością włada on swobodnie rosyjskim, bo dopiero w jego – krótkiej skądinąd partii – naprawdę „czuło się” Czajkowskiego. W roli Leńskiego słyszałam koreańskiego śpiewaka, Philippe Do, który wydawał się równie „nie na miejscu”, jak wtedy, kiedy afroamerykanka śpiewała Madam Butterfly. Elin Pritchard z Walii jako Tatiana była bardzo przekonująca, zarówno głosowo, jak i dramatycznie. Norweski Leif Jone Ølberg był poprawnym, choć nie dość diabolicznym Eugeniuszem.

Zastanawiająca i chwilami fascynująca była stro-  
na wizualna przedstawienia. Heinrich Horstkotte, reżyser przedstawienia, był również odpowiedzialny zarówno za kostiumy jak i dekoracje. Wzorował się, jak sam o tym opowiadał, na starych rosyjskich fotografiach, zdjęciach na ławkach w ogrodzie, czy na balu maskowym w dworku – i być może dlatego (stare zdjęcia nie są kolorowe!) zdecydował się na czysto monochromatyczną wersję: czarne i białe kolory, zarówno kostiumów, jak i dekoracji. Elementy dekoracji: pnie brzoź, zamieniają się sprawnie

w kolumny wewnątrz, drugi akt rozgrywa się podczas balu maskowego, gdzie Leński ubrany jest w kostium białego klauna. W tym też kostiumie ginie w pojedynku z Onieginem, który konsekwentnie ubrany jest na czarno. Zanim Leński zginie, zdąży poprzylepić do pni brzoź całą masę białych karteluszków, inne karteluszeki spadają na zabitego jak wielkie płatki śniegu.

Biały klaun, reprezentujący figurę rozsądną, przystojną i mądrą, zostaje zawsze „wykiwany” przez klauna z czerwonym nosem i w wielkich butach. Biały klaun jest zawsze niewinną ofiarą, i tak też jest w tym przedstawieniu. Przejście z drugiego aktu do trzeciego wydało mi się bardzo problematyczne: wspaniały polonez, sugerujący salę balową, akompaniuje tutaj scenie w lesie, gdzie raz po raz strzela się z pistoletu i trup ściele się gęsto.

Radość z oglądania *Eugeniusza Oniegina* dotyczyła głównie muzyki – zarówno chór, jak i orkiestra prowadzeni byli w sposób idealny przez Tecwynę Evansa, dyrygenta z Nowej Zelandii.

Eva Maria Jensen



Zdjęcia: Anders Bach



# MIGRANCI W POLSCE

rozmowa z *Kateryną Zavizhenets, prezeską Stowarzyszenia „Mi-Gracja”*



## **Skąd wzięła się nazwa Waszego Stowarzyszenia?**

Długo się nad tym zastanawialiśmy. Były też i inne propozycje. Zdecydowaliśmy się np. na „Tolerado”, ale okazało się, że takie stowarzyszenie już istnieje. Nam chodziło o akceptację, tolerancję, wzajemne szanowanie się i wreszcie o samą migrację. O ludzi pochodzących z migracji i emigracji. Na początku były wśród nas tylko same kobiety. Zaczęłyśmy więc tworzyć stowarzyszenie z gracją i migracją w nazwie. W naszym logotypie znalazły się te dwa wyrazy dzięki wsparciu Piotra Starzyńskiego – aktora i jednego z reżyserów mojej grupy teatralnej „t.Kanka” w szczecińskim teatrze „Kana”. Połączenie tych słów bardzo się nam spodobało. Uważałyśmy, że takie zestawienie wskazuje, iż migranci mogą naprawdę posiadać w sobie i grację i piękno.

## **Działacie od niedawna...**

– ... zostaliśmy zarejestrowani w listopadzie 2019 roku, ale jako inicjatywa lokalna działamy już od parę lat. Skupiamy się aktualnie na pisaniu projektów. Nie mamy, jak dotąd, żadnych dotacji. Korzystamy jedynie ze wsparcia szczecińskiego miejsca spotkań „Kooperatywa Łąźnia”.

## **Jakie główne cele stawiacie Państwo przed sobą?**

Nasze działania koncentrują się na sferze pomocy społecznej, w tym pomocy rodzinom i osobom emigrującym, szczególnie ze wschodniej Europy, które są w trudnej sytuacji życiowej i potrzebują wsparcia. Prowadzimy też działania na rzecz adaptacji, integracji i reintegracji zawodowej i społecznej osób emigrujących oraz działalność charytatywną. I wreszcie na rzecz mniejszości narodowych i etnicznych oraz języka regionalnego. Ważne są dla nas również działania w sferze edukacji obcokrajowców, zapoznania z językiem polskim, polską tradycją narodową, pielęgnowaniem oraz rozwojem świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej, profilaktyka izolacji obcokrajowych grup czy wreszcie wprowadzenie mentor-

stwa we wsparciu zawodowym. Chcemy ponadto zajmować się działaniami na rzecz równych praw kobiet i mężczyzn i na rzecz osób w wieku emerytalnym.

## **Inspiruje Was również działalność wspomagająca rozwój gospodarczy, w tym rozwój przedsiębiorczości...**

... oraz działalność wspomagającą rozwój wspólnot i społeczności lokalnych i działania w sferze nauki, szkolnictwa, edukacji, oświaty i wychowania. Chcemy wszystkie nasze cele statutowe realizować poprzez prowadzenie grup wsparcia dla dzieci, młodzieży i dorosłych, koordynowanie programów wspierających. Myślimy też o organizowaniu konkursów, imprez i akcji plenerowych.

## **Jest Pani z zawodu psycholożką i posiada doświadczenie w pracy z ludźmi w różnym wieku...**

Od ponad 4 lat żyję na emigracji w Polsce. Ukończyłam psychologię w Odessie. Dyplom nostryfikowałam na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nostryfikacja mojego dyplomu trwała blisko 3 lata. Wcześniej, w czasie studiów, zostałam wolontariuszką. Wspieraliśmy wtedy uchodźców z Donbasu. Prowadziliśmy różnego rodzaju akcje dla ludzi, których chcieliśmy wesprzeć i osiedlić w Odessie. Wtedy, po raz pierwszy, spotkałam się z pracą migracyjną. Tam też spotkałam się z Polakami i zaczęłam uczyć się języka polskiego. Ale kiedy przyjechałam do Polski zdałam sobie sprawę, że wcale nie rozumiem ludzi tak dobrze, jak bym chciała. Chwytałam jedynie pojedyncze słowa. Zaczęłam się więc uczyć się polskiego i poznawać Wasz język. Zostałam na okres jednego roku wolontariuszką Fundacji „Akademia Podmiotowego Wspierania Młodzieży” w Policach. Następnie, jako psycholożka, pracowałam z nastolatkami w ośrodku wychowawczym w Trzebieży oraz z niepełnosprawnymi w Policach i z dziećmi z domu dziecka w Tanowie. Praca z dziećmi szła mi dobrze i mogłam się od nich uczyć języka polskiego.



Członkowie „Mi-Gracji” w czasie jednego z tegorocznych spotkań

### Zdobywała tam Pani doświadczenie, które jest pomocne w działalności Waszego Stowarzyszenia...

... oczywiście. A jeżeli chodzi o pielęgnację swoich tradycji, to z chęcią zaglądam czasem do szczecińskiej cerkwi św. Mikołaja. Przychodzę tam np. na piękne koncerty pieśni słowiańskiej czy na niedzielną liturgię, choć sama nie jestem zbyt religijna. Na co dzień pracuję w marketingu, w firmie kobiecej „Milkiess”, w której wytwarza się biżuterię i upominki dla matek...

### ... i razem z koleżankami prowadzi Pani Stowarzyszenie

W naszym zarządzie jest nas siedmioro. Grupę za inicjatywą tworzy dziesięć osób. Przeważają u nas kobiety. Jest ich osiem. Mamy też dwóch mężczyzn, którzy są mężami dwóch z nich. Są to generalnie Ukraińcy.

### Wystawy przez Was organizowane odbywają się w lokalu przy ul. Koński Kierat 14/15 na Starym Mieście...

...bezpłatnie nam użyczonym. Prowadzimy tam też warsztaty z zakresu różnic kulturowych. Mamy w Stowarzyszeniu liderów grupy charytatywnej: „Błagotworim”. Prowadzi ją Julia z Ukrainy. Razem z nią stworzyliśmy projekt wymiany językowej. Chcemy w ten sposób pomagać ludziom, którzy niedawno przyjechali do Szczecina i którzy chcą lepiej jeszcze nauczyć się języka polskiego. Chcemy wreszcie wspólnie organizować charytatywne wyjazdy do domów dziecka i domów seniorów, także celem wymiany językowej. I tak np. przed ubiegłoroczną wigilią pojechaliśmy do Tanowa – do domu dziecka, gdzie wspólnie gotowaliśmy nasze *wareniki*. Opowiadaliśmy tamtejszym dzieciom o słowiańskiej tradycji oraz o obchodach naszych słowiańskich świąt. Takie spotkania wzbogacają i integrują obie strony. Chcemy zachęcać w ten sposób, do takich integrujących spotkań jak najwięcej ludzi i angażować w podobne

projekty socjalne. I tu widzę wielką przyszłość dla naszego Stowarzyszenia.

### Robiliście też wigilię wielokulturową...

... i integracyjną. Odbywała się ona w lokalu „Koope-ratywy Łażnie”. Śpiewaliśmy kolędy polskie i ukraińskie. Brało w niej udział ponad 60 osób razem ze swoimi dziećmi. Każdy z uczestników przyniósł ze sobą jakieś danie, którym się wzajemnie częstowaliśmy. Integracja, akceptacja i tolerancja przyświecała temu spotkaniu pod każdym względem.

### Integracja to jeden z najważniejszych celów Waszego Stowarzyszenia...

Chcemy stworzyć w Szczecinie nową formę integrującą życie wszystkich emigrantów – z celem profi-laktyki izolacji mniejszych grup narodowościowych i etnicznych zamieszkujących nasze miasto. Nasze Stowarzyszenie chce być mostem pomiędzy Polakami i emigrantami – dla Polek i Polaków z Ukrainkami i Ukraińcami. Osobiście doznałam dużego wsparcia od Polaków, szczególnie tu w Szczecinie. Kiedy tu przyjechałam i kiedy nie było tu jeszcze tylu Ukraińców co obecnie, to spotykałam się i pracowałam wyłącznie z Polakami. I z żadną nietolerancją, przez te lata, się nie spotkałam – może poza dwoma przypadkami ludzi z marginesu.

Nie stawiamy żadnych barier w naszym Stowa-rzyszeniu, czy to Ukrainiec, Rosjanin czy Białorusin. Wszyscy są traktowani tak samo. Cieszę się, że nie stawiamy żadnych granic we wzajemnych kontaktach. I że nie stawiamy bańki, w której tylko my jesteśmy, a innych traktujemy z góry. Moi rodzice rozmawiali – tata tylko po ukraińsku, mama tylko po rosyjsku. Wielokulturowość rozwija i wzbogaca ludzi.

rozmawiał Leszek Wątróbski

Najmłodsze pokolenie - dzieci członków Stowarzyszenia „Mi-Gracja”  
zdjęcia ze zbiorów K. Zavizhenets



## MIĘDZY POLETKIEM STANISŁAWA BAREI A DZIAŁKĄ EGONA OLSENA

Nie mało już razy wkładaliśmy nogę „w drzwi”, starając się przekładać i tłumaczyć sąsiedzkie stosunki i stosuneczki „z duńskiego na nasze” – ale przyznajemy, że do tej pory bywały to spory o „o pietruszkę”. Ot, takie drobiazgi jak konflikty między blokami, mocarstwami, zatrucie oceanów, czy jakiś tam koniec świata.

Przyszedł jednak czas, że trzeba zabierać głos w sprawach naprawdę dla duńskich gospodarzy ważnych. Jak twierdzą angielscy – a za nimi oczywi-

ście także nordyccy patrioci – tym razem nie chodzi o jakieś tam problemy dotyczące śmierci czy życia, tu idzie o piłkę nożną!

Bo oto takie właśnie niepokojące wieści, wagi najwyższej, dotarły jakoś do nordyckich stadionowych patriotów wraz z grzmotami dobiegającymi znad wiślańskich tybun, mównic i wyroczeni – na razie tylko w sprawach politycznych. Owe, wręcz mocarstwowo brzmiące zapowiedzi, że jakaś tam „obca” Unia – „twór wymaginowany” – czy też złośliwi



potomkowie Galłów lub Teutonów nie będą dumnym Lechitom dyktować unijne normy czy przepisy i to dyktować w obcych językach! I czyż można się dziwić, że takimi właśnie grzmotami najwyższych nadwiślańskich Autorytetów, mogli się zaniepokoić gracze, działacze i kryzysowicze z tutejszych stadionów.

Przestraszyli się na myśl, co będzie, gdy Lechici (ci od poznańskiego „Lecha”) lub Wiślanie (od krakowskiej „Wisły”) pójdą śladem swych politycznych przywódców i prezesów! Że zatem w czasie którychś mistrzostw, rozgrywek czy eliminacji, jakiś kapitan, czy może nawet prezes, powie, że żadna „wymagowana” FIFA czy UEFA nie będzie nam dyktować, kiedy „karny”, kiedy „spalony” lub ilu zawodników wbiegnie na murawę. A na dodatek, *horrendum*, będą to robić w *obcym* języku!

No, z jednym może wyjątkiem, gdy będzie to powiedziane w języku dobrego Wujaszka Sama, któremu winniśmy, by zacytować Wieszcza: „...*miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic!*” Tyle, że ów Wuj na piłce nożnej zbytnio się nie zna, a to, co u siebie nazywa *footballlem*, przypomina raczej jakąś inwazję opancerzonych kosmitów, którzy – aby było śmieszniej – grają swój *football* głównie rękami. Chociaż tamtejsza językowa oryginalność nie powinna specjalnie dziwić, gdy przypomnimy, że w ojczyźnie Wujasza np. czarni ludzie zwani są konsekwentnie „kolorowymi”. Ale po co my czytelnikowi zwracamy głowę problemami z pogranicza optyki i polityki? Wszak już przed laty usłyszeliśmy, że: „*nikt nam nie*



*wmówi, że białe jest białe, a czarne jest czarne!*”

A wracając do zaniepokojonych piłkarzy i kibiców małej ojczyzny wielkiego Andersena, miejmy nadzieję, że konfliktu z Lechitami uda się uniknąć. Zwłaszcza, że tutejsi władcy, zapewne z pokolenia niegdysiejszych „dzieci kwiatów”, rozkręcają ostatnio tyleż polit-poprawną, co smakowitą, sprawę nieletnich żon „nowo-Duńczyków”. Oto bezduszna pani minister i urzędniczka poprzedniego(!) rządu odmawiali owej przybywającej zza mórza młodzieży wspólnej sypialni od pierwszego dnia (no, nie tylko dnia...)

pobytu w imigranckich ośrodkach. Wprawdzie tubylcze prawo coś tam o wieku oblubienicy stanowi, ale ponoć odnośne dokumenty nie były rozpatrywane we właściwej kolejności i bez należytej wnikliwości... No, ale czyż my nie żyjemy w ojczyźnie Gangu Olsena?

Ale ufajmy, że sporu z ojczyzną nieodżałowanego Stanisława Barei uda się uniknąć. Wszak wiadomo z historii, że na dworze jakiegoś padyszacha lub kacyka, gniewu Pańskiego udało się uniknąć przy pomocy jednego celnego *bon motu* podrzuconego przez trefnisia czy przybocznego dworaka. Zwłaszcza jeśli trafił w gusta Dostojnej Osoby. Może więc i tym razem udałoby się zgrzyty wyciszyć, gdyby w kołach zbliżonych do Najwyższych Autorytetów rozposzechnić np. powiedzonko: „Zostawmy może tych Duńczyków, oglądajmy walki byków”.

**Wielbiciel Gangu Olsena z wyspy Amager**

# Przepadł z Krotosem

rysunki współpracującego z „Informatorem Polskim”  
rysownika z Gliwic p. TADEUSZA KROTOSA





## SŁOŃCE NAD GUDHJEM

Powyższe zdjęcie pokazuje słońce na bornholmską miejscowością Gudhjem (nazwa ta w dosłownym tłumaczeniu znaczy Dom Boga).

Słońce nad Gudhjem (dun. *Sol over Gudhjem*) – to też bardzo popularna duńska kanapka, odmiana *smørrebrød*.

### Składniki:

kromka ciemnego, żytniego pieczywa,  
masło,  
1 mały, wędzony na gorąco śledź,  
1 rzodkiewka,  
posiekany szczypiorek,  
kilka krążków czerwonej cebuli,  
1 żółtko.

Ze śledzia wędzonego na gorąco należy zdjąć skórę, usunąć kręgosłup i ości. Na kromce ciemnego żytniego chleba zwanego *rugbrød*, posmarowanej duńskim masłem, układa się filet ze śledzia i plasterki rzodkiewki, posypuje się posiekanym szczypiorkiem, a na środku umieszcza się surowe żółtko, często w krążku czerwonej cebuli. Jako dodatek serwowana może być sałatka ziemniaczana i piwo.

Jak większość duńskich kanapek, także i tę najlepiej jeść nożem i widelcem, ponieważ surowe żółtko ściekające po ręce – choć nadaje kanapce fantastycznego, kremowego smaku – nie wyglądałoby zbyt estetycznie.

Velbekomme! Smacznego!



UŚ





## MONSTRUM W KOPENHASKIEJ OPERZE: MUSICAL „SWEENEY TODD”

Nieczęsto dane mi jest brać udział w spektaklu, który aż tak byłby mi niemiły, jak to miało miejsce w przypadku musicalu *Sweeney Todd*, który z końcem 2019 roku wystawiono w Kopenhadze. Może mój opór spowodowany był faktem, że nie jestem entuzjastką musicali (jeżeli już, to wolę operetki) i że uważam, że scena narodowa Danii powinna zużywać swe środki w bardziej rozsądny sposób. Dyrekcja teatru jest jednak wyraźnie innego zdania – premiera otoczona była maszyną reklamą medialną, a przedstawienie było grane aż do lata.

Dyrektor Opery, John Fulljames, w przedmowie do programu przedstawienia nie nazywa dzieła Stephena Sondheim’a (ur. 1930) musical’em, a „operą broadwayowską”. O *Sweeney Todd* niewiele wiedziałam, oprócz tego, że co młodsi znajomi wymieniali film typu horror z Johnnym Diepp’em w tytułowej roli (wyprodukowany w 2007 i nominowany do Oscara), którego też nie oglądałam.

Punktem wyjścia scenicznej kariery *Sweeney Todd* jest powieść Hugh’a Wheelera (1912–1987) z roku 1973 przerobiona na sztukę teatralną przez Chrisphera Bonda. Musical Stephena Sondheim’a jest z roku 1979 i od czasu premiery gościł na wielu sce-

nach teatralnych i operowych świata, dosłownie na wszystkich kontynentach. W Danii wystawiony był po raz pierwszy.

U samego podłoża akcji znaleźć można felieton z angielskich brukowców czasów wiktoriańskich (z lat 1846–1847). Jest to krwawa historia o fryzjerze mordującym swych klientów podczas strzyżenia. Fryzjer, Sweeney Todd, mieszka w pokoju wynajętym na pięterku nad jadalnią pani Lovett, specjalizującej się w produkcji „meat pie” (czyli tarty z mięsem). Czasy są ciężkie, mięso trudne do zdobycia i złej jakości. Para Todd-Lovett wpada na wspaniały pomysł użycia trupów z salonu fryzjerskiego do produkcji tart. Interes idzie wspaniale, wkrótce jadalnia pani Lovett staje się słynna, a właścicielka coraz bogatsza. Wszystko jest pięknie zorganizowane, zabite ofiary posyłane są specjalną zjeżdżalnią do kuchni na parterze, a resztki palone w piecu (sąsiedzi skarżą się na paskudny smród wydobywający się z komina, ale nikt niczego nie kojarzy). Jest jeszcze kilka wątków ubocznych, próbujących trochę usprawiedliwić brutalnego mordercę – był on niesłusznie skazany na banicję przez okrutnego sędziego, który mu odebrał i żonę, i córkę. Jest też młody marynarz pragnący uwolnić córkę, Johanne, z kleszczy sędziego. Jak by nie było,



kończy się to wielką rzezią, ginie zarówno sędzia, pani Lovett, a na końcu również główny bohater.

Zanim jednak dobrniemy do tego optymistycznego końca, czeka nas dwie i pół godziny bardzo głośnego spektaklu, z muzyką, która przypomina wszystkie inne musicale, wszystko odbywa się na tle brzydkich dekoracji i w nieciekawych kostiumach. Za to jest na scenie bardzo wiele ruchu, tańców, bieganiny, znikania i pojawiania się – wybitni soliści operowi wyposażeni są w mikrofony (bo mają wiele partii mówionych), głos przetworzony przez elektronikę dobiega z wszystkich stron i kierunków, akcja jest zawikłana, numery „solowe” nieciekawe. Młodsza część publiczności bawi się doskonale, starsza przysypia, albo zastanawia się, czy wyjść w przerwie. W foyer ustawiono stoły posypane mąką z miami pełnymi czerwonego płynu (imitacja krwi) na środku i sporą ilością tart mięsnych, w towarzystwie sztucznych karaluchów. Publiczność zachęcana jest

do spożywania tych produktów, i co dziwne, niektórzy to czynią i nawet mówią, że smaczne....

Akcję umieszczono nie w XIX-wiecznym Londynie (czasy, kiedy historia po raz pierwszy się pojawiła), nie w latach 80. (kiedy musical miał swą premierę na Broadwayu), a na początku lat 50. Ponieważ przedstawienie grane będzie dość długo, obsadzono wszystkie role podwójnie. Większość ról śpiewana jest przez tutejszych artystów. Na premierze rolę tytułową kreował wybitny śpiewak, baryton Palle Knudsen, a w rolę Nellie Lovett wcieliła się Susanne Resmark (alt). Oboje są nie tylko doskonałymi śpiewakami, ale też bardzo dobrymi aktorami. Młodą córkę Todda, Johanne, śpiewała Cassandra Lemoine, jej amantem był Frederik Rolin, a uosobieniem zła, sędzią Turpinem, Johannes Mannov. Wielką rolę odgrywał chór, przyodziały głównie w łachmany, śpiewał doskonale i miotał się po scenie zgodnie z wizją reżysera (James Brining). Orkiestra grała brawurowo pod dyrekcją Iana Ryana.

Mimo, iż dzięki temu przedstawieniu poszerzyła się moja wiedza, to ogólne wrażenie po obejrzeniu spektaklu było na tyle negatywne, że głównym uczuciem, który wyniosłam z teatru w ten bardzo wietrzny i mokry wieczór, było uczucie zdziwienia: w jakim celu wystawiono to mało apetyczne dzieło na wielkiej scenie teatru operowego w Kopenhadze?

**Eva Maria Jensen**



# JESTEŚMY MIASTEM ZIELONYM, BŁĘKITNYM, EKOLOGICZNYM, OTWARTYM NA RÓŻNORODNOŚĆ...

*Rozmowa z zastępcą prezydenta Szczecina Krzysztofem Soską*



**W tym roku Szczecin obchodzi podwójny jubileusz: 777 lat od uzyskania praw miejskich oraz 75 rocznica przekazania go Polsce...**

Jubileusze upoważniają nas do refleksji i posumowań. Są również okazją do spojrzenia w przeszłość i przyszłość i znalezienia czasowej cezury. Na pewno jubileusz trzech siódemek – przyznania prawa miejskich miastu ma swoje znaczenie. I pokazuje, że miasto ma bogatą historię. Warto przy tym pamiętać, że Szczecin uzyskał prawa miejskie na prawie magdeburskim w roku 1243 i że nadał mu je książę Barnim I. Następnie, w XIII wieku, Szczecin stał się miastem hanzeatyckim. A na miejscu grodu słowiańskiego, sto lat później, książę Barnim III Wielki wybudował swoją siedzibę – tzw. „Kamienny Dom”. Szczecin, będący historyczną stolicą Księstwa Pomorskiego, znalazł się później w granicach: Szwecji, Brandenburgii, Prus i Niemiec i od roku 1945 należy do Polski.

**Szczecin znalazł się w granicach państwa polskiego w lipcu 1945...**

...rocznicę nadania miastu praw miejskich, 777 lat temu, traktujemy jako rocznicę historyczną, o której warto pamiętać. Emocjonalnie natomiast, dużo ważniejsza, jest dla nas 75 rocznica przejęcia miasta przez polską administrację. Losy Szczecina długo nie były jasne do końca. Wyjaśniły się ostatecznie dopiero na początku lat pięćdziesiątych. Ludzie i politycy nie wiedzieli, czy miasto pozostanie na stałe w granicach Polski.

**Rocznice stwarzają zawsze okazję i prowokują do wielu przemyśleń – m.in. szukania własnej tożsamości...**

...dziś potrafimy już m.in. normalnie rozmawiać także o naszej niemieckiej wielowiekowej przeszłości. Możemy też z szacunkiem spoglądać na niemieckich architektów, urbanistów czy przedwojennych bur-



mistrzów, którzy w dużej mierze stworzyli współczesny kształt naszego miasta. I z drugiej strony być dumni z tego, co przez minione 75 lat Polska tu zrobiła. I to, że nasze miasto pięknie się dzisiaj rozwija. Widzimy także, jak nasi sąsiedzi zza Odry spoglądają na nas z dużym niedowierzaniem – na wszelkie zmiany, których tu dokonaliśmy. Bo z jednej strony wielki program inwestycji miejskich sięgający rocznie 600–700 milionów zł, ale i też wiele nowych inwestycji prywatnych – takich jak: biurowce, apartamentowce, hotele czy nowe osiedla mieszkaniowe. Myślę, że

osoby które miały przerwę w bytności w Szczecinie i które tu po latach ponownie zawitały mogą z wrażenia szeroko otwierać oczy. A zatem te rocznice są próbą jakiegoś usadowienia nas na tej osi czasu historii i wyjaśnienia dlaczego tu jesteśmy i skąd jesteśmy, ale i dokąd zmierzamy

### **Szczecin zasiedlali pionierzy z różnych części Polski oraz Kresów Wschodnich.**

Naszego społeczeństwa nie da się porównać do takich społeczeństw jak: małopolskie czy wielkopolskie, które były zasiedlone z dziada pradziada. Tam, na każdym prawie kroku, znajdują się domy i pamiątki rodzinne sięgające często setek lat wstecz. Tutaj zaś nasza polska historia zaczyna się 75 lat temu wraz z przybyciem migrantów, będących de facto często uchodźcami z terenów dzisiejszej Ukrainy, Białorusi czy Litwy. I docierali tu zazwyczaj ludzie odważni, bo trzeba było mieć odwagę osiedlić się na zachodnim krańcu Rzeczypospolitej nazywanym przez lata Kresami Zachodnimi. Osiedlić się w miejscu, gdzie grasowały często jeszcze różne bandy, niemieckie oddziały czy wreszcie Rosjanie, którzy nas tu nigdy nie rozpieszczali.

### **Specyfiką Szczecina była więc i nadal jest różnorodność...**

Zawsze tak było. Bo z jednej strony byliśmy zawsze miastem portowym, w którym byli marynarze podróżujący po świecie. Nawet za czasów słusznie minionych Szczecin nazywany był *oknem na świat*. Dzięki temu międzynarodowy charakter miasta był tu zawsze odczuwalny. Dzisiaj dokładamy do tego jeszcze miasto na pograniczu i współpracę z niemieckim sąsiadem. Uczestniczymy wreszcie w migracjach. Ruch migracyjny się bilansuje. Jest natomiast problem demograficzny. Rodzi się coraz mniej dzieci. Szczecin od wielu już lat utrzymuje swoją populację na poziomie 400 tysięcy plus. Według najnowszych danych mieszkają tu także cudzoziemcy. Jest ich obecnie ok. 25 tys. W Szczecinie np. zatrudnionych jest prawie 16 tys. Ukraińców. Jest ich zdecydowanie więcej niż przedstawiciele innych nacji. Drugą najliczniejszą grupę stanowią Białorusini. Nie brakuje u nas też pracowników z odległych krajów – takich jak Tadżykistan, Meksyk, Mauritius czy Malezja. Prawie 800 obcokrajowców prowadzi w działalność gospodarczą. I w tej grupie też największą reprezentacją są Ukraińcy, bo 195 osób zajmuje się własną działalnością. Nic dziwnego, bo Szczecin był zawsze i jest nadal miastem otwartym.

### **Jak miasto przygotowało się do tegorocznych jubileuszy?**

Nasze plany bardzo pokrzyżowała pandemia. Planowaliśmy cykl wydarzeń koncertowych dedykowanych jubileuszowi 75-lecia przekazania Szczecina Polsce. Musieliśmy bardzo zweryfikować nasze plany, tak aby nie generować w jednym miejscu dużych skupisk ludzi. Postawiliśmy więc na publikacje. Ukazał się m.in. album „Szczecin. Metamorfozy” ze zdjęciami Marka Czasnojcia oraz fotografiami archiwalnymi. Jest to już trzeci album poświęcony Szczecinowi.

### **A co z imprezami towarzyszącymi?**

Dopiero teraz wszystkie instytucje kultury są powoli odmrażane. I tak praktycznie ruszą po wakacjach letnich. Wiele natomiast ciekawych wydarzeń dzieje się w sferze internetowej. Są to m.in. koncerty, spektakle czy festiwale – np. *Festiwal Szczecin Classic*, który odbywał się częściowo na żywo, przy ograniczonej ilości uczestników. Wiele natomiast osób korzystało z transmisji internetowej.

### **Rok 2020 jest także rokiem kilku innych ważnych rocznic – takich jak 40 rocznica podpisania porozumień sierpniowych czy 50 rocznica grudnia 1970.**

Wszystkie te wydarzenia budowały tożsamość naszego miasta i tożsamość jego mieszkańców. Bez wątpienia tworzenie się ruchu *Solidarność* oraz podpisanie porozumień sierpniowych czy stworzenie wolnych zwią-

ków zawodowych przyczyniło się do głębokich zmian w całej Europie. Były nimi obalenie muru berlińskiego i likwidacja żelaznej kurtyny. Był to również pierwszy krok w stronę Unii Europejskiej, chociaż nikt wtedy o tym jeszcze nawet nie marzył.

### **Porozmawiamy jeszcze o przyszłości i perspektywach miasta, za które Pan – jako zastępca prezydenta odpowiada...**

Większość mojego dorosłego życia przepracowałem jako dziennikarz radiowy i telewizyjny. Dostałem następnie propozycję od prezydenta Piotra Krzystka zajęcia się polityką społeczną, a w tym sferą kultury w mieście. Uznałem tę propozycję za ciekawą. I tak się dzieje od 10 lat. W międzyczasie moje kompetencje się rozszerzyły. Zajmuję się obecnie całą sferą społeczną, w tym oświatą, kulturą i sportem. Odpowiadam za największą część budżetu miasta, bo oświata i polityka społeczna to bardzo kosztowne elementy i niezwykle ważne, powiedziałbym kluczowe, dla społecznego funkcjonowania naszego miasta. Staram się tworzyć miasto, tak jak jest zapisane w naszej strategii, o wysokiej jakości życia. Miasto, które będzie promieniowało i przyciągało do siebie mieszkańców, także nowych. I będzie zachęcało do zakładania rodziny i tworzenia optymalnych warunków do jej funkcjonowania. I aby tak się stało, to musi być spełnionych kilka warunków. Po pierwsze – rodzina musi mieć się za co utrzymać – musi więc być praca. Przed pandemią mieliśmy rekordowo niskie wskaźniki bezrobocia – zaledwie ok. 2%. Można więc śmiało powiedzieć, że każdy kto chciał mógł tu znaleźć pracę. U nas bezrobocie było niższe niż w całej Polsce. Obserwujemy pilnie jak sytuacja wygląda teraz po *lockdownie*. Wprawdzie wskaźniki się pogorszyły, ale nadal jest niski stopień bezrobocia, ciągle poniżej 5%. Drugi warunek to dobra edukacja. Rodzina chce mieć pewność, że ich dzieci, które tu dorastają, mają szanse na zdobycie edukacji, która pozwoli im podejmować optymalne dla nich życiowe decyzje. Wreszcie trzeci warunek to oferta dobrego wypoczynku oraz środowiska, w którym ona funkcjonuje.

### **Szczecin spełnia więc te trzy aspekty?**

Szczecin jest miastem atrakcyjnym. Ilość naszej zieleni czy tempo życia, w porównaniu z innymi miastami Polski, wydają się być optymalne. Także jeśli chodzi o ofertę kulturalną. Ona jest niezwykle szeroka i cały czas się wzbogaca. Tak jest np. z naszą filharmonią, która przeszła potężne przeobrażenie i jest dziś wizytówką miasta. Jesteśmy miastem zielonym i błękitnym, jeśli chodzi o ilość wód nas otaczających. Jesteśmy też miastem ekologicznym. To wszystko mieści się w naszej strategii realizowanej od 10 lat pod nazwą **Szczecin Floating Garden 2050**. A dzieje się tak, bo zieleń i woda zajmują ponad połowę powierzchni miasta. A takich miast jak Szczecin w Europie jest naprawdę niewiele. W jakim innym mieście można żeglować po rzece, jeziorze czy zalewie. Nasze miasto jest też jednym z ważniejszych punktów na jachtingowej mapie Polski i Europy. Szczecin to jedna z największych i najnowocześniejszych marin na Bałtyku. Mamy wreszcie uregulowaną gospodarkę odpadami z nowoczesną oczyszczalnią ścieków. Wybudowaliśmy spalarnię odpadów – **Zakład Termicznego Unieszkodliwiania Odpadów EcoGenerator**, który pozwala nam całkowicie rozwiązać problem śmieciowy. Wiele innych miast marzy o takim hiper nowoczesnym rozwiązaniu. Walczymy wreszcie z kopciuchami – domowymi piecami węglowymi – choć mamy ich w stosunku do kraju dużo mniej. Chcemy je, w perspektywie kilku lat, zupełnie zlikwidować. To wszystko są ogromne programy, które miasto już zrealizowało – np. czysta woda dla Szczecina. Miasto nie zanieczyszcza też Odry. My ją wręcz oczyszczamy. Ze szczecińskich oczyszczalni wychodzi woda bardziej czystsza niż ta, która tu dopływa.

### **Szczecin to także miasto regat wielkich żaglowców!**

W tym roku z powodu pandemii nie odbędą się tradycyjne **Dni Morza**. Zamiast tego miasto przygotowało szereg drobniejszych atrakcji, które przez całe wakacje będą odbywały się na Łasztowni. Najbardziej ich widocznym elementem jest park rozrywki „Holiday Park Szczecin”, który od trzeciego lipca mieści się w okolicach budowanego **Morskiego Centrum Nauki**. Jedną z najciekawszych atrakcji Parku jest wysoka na osiemdziesiąt metrów karuzela z huśtawkami łańcuchowymi.

W roku przyszłym (2021), na przełomie lipca i sierpnia, odbędzie się w Szczecinie, mam taką nadzieję, finał regat wielkich żaglowców **The Tall Ships Races 2021**. Będziemy go organizować już po raz czwarty. I mam cichą nadzieję, że tak jak w poprzednich latach, przyciągnie on ponownie setki tysięcy uczestników. Spodziewamy się nawet do ok. 2 mln gości. Korzystając z okazji, już dziś pragnę zaprosić do Szczecina wszystkich chętnych.

rozmawiał Leszek Wątróbski



Szczecin. Zamek Książąt Pomorskich



Jasne Błonia. Kwitnące krokusy



Filharmonia Szczecińska

Plac Grunwaldzki. Kwitnące magnolie



1



2



3



4

1. CUAUHEMOC – meksykański bark szkolny na regatach wielkich żaglowców The Tall Ships Races
2. Port szczeciński
3. Dni Morza na Wałach Chrobrego
4. DAR MŁODZIEŻY – polska fregata szkoleniowa na regatach wielkich żaglowców The Tall Ships Races

(fot. Leszek Wątróbski)



Odwiedź stronę internetową  
**Muzeum Izba Polska**

<http://www.polakkasernen.dk/pl/>

---

Besøg  
**Museum Polakkasernens**  
hjemmeside

<http://www.polakkasernen.dk>

**MobilePay 25 77 92 01**

